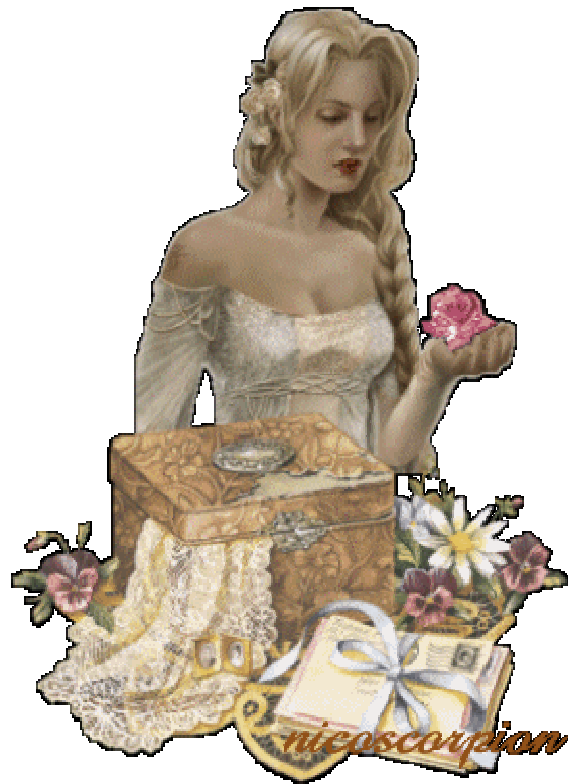




Anne Stuart



Dom nadziei

PROLOG

Mary miała podły nastrój. Jordan opuścił ją wieki temu. Ale co tam - czas nie miał znaczenia wobec tej dziwnej i niejasnej sytuacji, w której się znalazła. Może minął wiek, a może było to tylko mgnienie oka, dość że jej najlepszy przyjaciel i brat w jednej osobie zniknął pewnego dnia niespodziewanie i zostawił ją na pastwę losu, każąc czekać na wezwanie, które jak dotąd nie nadeszło.

Mary wiedziała, gdzie jest jej miejsce. Stało się to dla niej jasne w momencie, kiedy zaczęła analizować całą sytuację. Oczywiście było dla niej też, że Jordan pozostanie jej najlepszym przyjacielem - skarbem, ale i utrapieniem.

Jedno, co nie było dla Mary tak oczywiste, to że Jordan wyjedzie pierwszy i że ona sama będzie tak okropnie samotna. No cóż, wmawiali jej, że trafiła w dobre miejsce. Miała nadzieję, że to prawda. Chciała w bezpiecznym, ciepłym kokonie przeczekać tę otchłań czasu, aż zostanie wezwana.

Nie zamierzała jednak ukrywać swojego poirytowania całą sytuacją. Chciała o tym krzyczeć głośno, wyraźnie i bez przerwy, aż zatruje im życie tak, jak oni jej zatruli. A potem im wybaczy. To wszystko, czego pragnęła. Łaknęła szansy, żeby zaczerpnąć powietrza i poczuć bezpieczny uścisk dłoni. Była gotowa zrobić wszystko, żeby tak się stało.

Miała tylko nadzieję, że się pośpieszą, bo miała już tego wszystkiego serdecznie dość.

ROZDZIAŁ 1

W Domu Nadziei jak zwykle panował chaos. Pam gdzieś przepadła, Tania zalewała się łzami z powodu spartaczonego szwu, a Ellie wymiotowała w łazience.

Wciąż miała poranne nudności, mimo że była już w szóstym miesiącu.

Dwie osoby czekały w saloniku, który służył za poczekalnię. Salonik był jednym z pomieszczeń starego wiktoriańskiego domu, który z kolei służył jednocześnie za mieszkanie, poradnię, sklep i schronisko dla samotnych matek. Zadzwoił telefon i w tym samym momencie Marike dostrzegła przez okno zajeżdżającą przed dom furgonetkę z firmy energetycznej.

No tak, pewnie zapomniałam zapłacić rachunek, pomyślała ze stoickim spokojem. Piękne ukoronowanie dnia. Od samego rana tylko kłopoty i kłopoty.

Najpierw Marike nie była w stanie powstrzymać wymiotów Ellie. No cóż, czas sam rozwiąże ten kłopot, pomyślała. Z kolei Tania, następna ciężarna nastolatka, była tak wrażliwą osobką, że potrafiła ją wzruszyć nawet reklama psiej karmy - dzisiaj też płakała cały dzień. Pam natomiast gdzieś przepadła i tylko Bóg jeden wiedział, gdzie w tej chwili przebywa.

Spojrzała z westchnieniem na telefon. Bez względu na to, kto dzwoni, zadzwoni jeszcze raz. A elektrycy? Zanim dotrą do drzwi, minie co najmniej pięć minut. Najpierw trzeba obsłużyć klientów.

Wystarczyło jej rzucić na nich okiem, a Marike już wiedziała, że to będzie ich pierwsze dziecko. Spokojna, lekko zaokrąglona kobieta i jej spanikowany mąż. Dziwne, że większość mężczyzn wpada w panikę bez względu na to, ile razy ich żona poprzednio rodziła. Ale i tak najbardziej żałośnie zachowują się ci, których żony zachodzą w ciążę pierwszy raz.

- Przyszliśmy po ubrania dla kobiet w ciąży - odezwał się mężczyzna, gdy Marike do nich podeszła, po czym popatrzył na nią wzrokiem winowajcy.

- Ona wie, po co przyszliśmy, Edwardzie - spokojnie dodała żona. - Niby z jakiego powodu mielibyśmy przyjść?

- Poczekaj. Pozwól, że ja się tym zajmę, Kiciu - powiedział z naciskiem Edward i ponownie zwrócił się do Marike. - Moja żona musi mieć... coś ładnego - uśmiechnął się niepewnie. - Może jakiś wzorek w kwiatki?

Marike nie znosiła kwiecistych sukienek, opinających ciała brzemiennych kobiet, a jeszcze bardziej nie lubiła mężów „zarządzających” ciążami swoich partnerek.

- Ten wzorek to dla pana czy dla żony? - zapytała słodkim głosem.

Edward spieszył się. Kicia poklepała go kojąco po ramieniu. To dobrze. Od razu widać, że będzie cierpliwą matką, z aprobatą pomyślała Marike.

- No pewnie, że dla mnie - Kicia rzuciła jej konspiracyjny uśmiezek. - Widzi pani, dowiedzieliśmy się o mojej ciąży dosłownie przed chwilą. Edward uparł się, żeby iść za ciosem i od razu tu przyjechać. Jest tym wszystkim trochę zszokowany.

No tak, przestraszył się, biedaczek. Ale za to Kicia trzyma fason. Marike postanowiła, że dopóki to Kicia będzie u steru, okaże im sympatię i będzie cierpliwa nawet wobec komentarzy Edwarda. Spojrzała na małżonków z wysokości swoich ponad metra osiemdziesięciu wzrostu i powiedziała:

- Jeśli przed chwilą dowiedzieliście się państwo o ciąży, to macie dużo czasu, żeby zastanowić się nad garderobą. Może zechcecie przejść do sali obok? Koleżanka zaparzy wam ziołowej herbatki z miodem, a wy przejrzycie sobie nasz katalog.

Edward nadal robił wrażenie zakłopotanego. Uniósł spłoszony wzrok, ale zaraz wstał posłusznie. Marike poczuła od niego smród papierosów i zmarszczyła brwi.

- No i nie ma mowy o paleniu papierosów. - Popatrzyła groźnie w jego twarz.

- Nigdy nie palę w cudzym domu bez pozwolenia - odparł urażony.

- Pan nie rozumie. - Marike pokręciła głową, a jej karmazynowe w tym tygodniu włosy opadły wdzięcznie na czoło. Ten ich kolor też musiał

być szokujący dla biednego Edwarda. - Od dzisiaj nigdzie nie wolno panu palić - wyjaśniła. - Bo nie chce pan chyba, żeby pańskie dziecko było biernym palaczem?

- Niech się pani zlituje - zachnął się. - Dopiero co wyszliśmy od lekarza.

- No właśnie. Teraz więc czas rzucić palenie. - Marike wyciągnęła przed siebie dłoń i nakazała nie znoszącym sprzeciwu głosem: - Niech pan oddaje wszystko, co pan ma.

Tym razem poszło szybciej niż zwykle. Paczka papierosów wylądowała na jej silnej, zgrabnej dłoni. Marike próbowała ją zgnieść, ale bez powodzenia.

- Pańskie życie się teraz zmieni, Edwardzie - powiedziała tonem pocieszenia. - Dlaczego nie zacząć od razu?

Kicia spojrzała na męża, a potem na Marike. Najwyraźniej była zdumiona, że jej Edward jest taki potulny. Wobec Marike wszyscy jednak tacy byli.

Kiedy szli razem do sąsiedniego pokoju, Kicia szepnęła konspiracyjnie:

- Jak pani to zrobiła? Myślałam, że będę musiała z nim stoczyć prawdziwą bitwę o te papierosy.

Marike uśmiechnęła się nieznacznie.

- To dar - odparła niskim głosem. - Trzeba pokazać facetom, kto tu rządzi.

Z elektrykami poszło jej równie gładko. Zdążyli się już przyzwyczaić do Marike. Za każdym razem, kiedy przyjeżdżali odciąć prąd za nieopłacone rachunki, czarowała ich rozmową, częstowała filiżankami herbaty i obiecywała solenną poprawę. Nie chodziło nawet o to, że nie miała pieniędzy na opłacenie rachunków. Marike po prostu nie przywiązywała zbytnej wagi do takich szczegółów, jak terminy opłat.

Gdy zbliżała się pora obiadu, kryzys szczęśliwie został opanowany - Ellie przestała wymiotować, Tania płakać, elektrycy odjechali, zaś pani Kicia Peterson, która, jak się okazało, naprawdę miała na imię Grace, wybrała trzy efektowne kreacje. Marike dyplomatycznie odradziła jej cygańską sukienkę, która bardziej pasowała takiej amazonce, jak ona

sama, a nie żonie statecznego Edwarda. Potem grzecznie odprowadziła państwa Peterson do drzwi. Chwilę później, z miną pełną wyrzutów sumienia zjawiała się Pam.

Marike przeczesła dłonią gęste, kręcone włosy. Zastanawiała się, czy w porze lunchu nie pójść na górę i nie obciąć ich dla kaprysu. Była dzisiaj dziwnie niespokojna i rozdrażniona, choć na co dzień szczyliła się swoim opanowaniem. Ale czy można się było dziwić temu zaniepokojeniu, skoro horoskop przepowiadał jej wielkie zmiany? Marike wierzyła wprawdzie w przepowiednie tylko wtedy, gdy chciała, lecz tym razem miała dziwne przeczucie, że zmiany rzeczywiście wiszą w powietrzu. Rzecz w tym, że wcale nie była pewna, czy jest na nie gotowa.

Właściwie nie powinna tęsknić do odmiany swego losu. Była całkiem szczęśliwa, odkąd z jej życia zniknął Daniel. Razem z nową żoną wyprowadził się na Wschodnie Wybrzeże, więc nawet jeśli ta jego chorobliwie chuda wybranka zaszła w ciążę, Marike wcale nie będzie musiała się o tym dowiedzieć. Teraz sama kierowała swoim życiem i była pewna, że wychodzi jej to całkiem nieźle.

No, oczywiście, były pewne problemy. Ostatnio na przykład w Domu Nadziei zmarnowała się cała bela ręcznie malowanego batiku. Poza tym trzeci raz w tygodniu wysiadł bojler, przeciekał dach, Tania o mały włos zleciała ze schodów, a ogrzewanie tego starego mauzoleum kosztowało fortunę. Mogło być lepiej, ale przecież mogło także być gorzej. Ba, bywało dużo gorzej, Marike powtarzała sobie w myślach na pocieszenie.

Ten wielki zabytkowy dom po części był jej azylem, a po części prawdziwą kulą u nogi. Marike cieszyła się jednak, że jest jego właścicielką. Miała swoje dziewczęta, którym pomagała i dawała schronienie w trudnych chwilach. Dawała im również pracę, a także uczyła samodzielności. Kiedy którakolwiek z nich była gotowa do podjęcia samodzielnego życia, odchodziła, a jej miejsce zajmowało inne biedactwo w pilnej potrzebie. Wszystkie tworzyło wielką rodzinę, związaną z Marike i jej Domem Nadziei. Wracały później, przywoziły swoje dzieci, czasami pokazywały nowych mężów, a wraz ze swoimi bliskimi przywoziły wszystkie swoje smutki i radości.

Marike była bogata. Miała wystarczająco dużo pieniędzy na utrzymanie dziewczyn i wypłacanie im pensji. Stać ją też było na opłacenie świadczeń. Była zdrowa, niezależna, pełna energii i wciąż nowych pomysłów. Co więc się dzisiaj stało, że ogarnęła ją taka melancholia?

Skłonność do refleksji i zadumy nie była główną cechą jej charakteru. Marike była raczej nieprzewidywalna, szalona, chętna do szokowania i zadziwiania.

Dzieciństwo także miała całkowicie nietypowe. Jako jedyne dziecko swej ekscentrycznej matki wiodła samotne życie, a historie o kochających tatusiach, wujkach, ciociach i babciach, jakimi dzielili się z nią rówieśnicy, znała wyłącznie z opowieści. Przez długi czas myślała zresztą, że to właśnie jej odpowiada.

Nie tłumaczyło to jednak faktu, że poślubiła pierwszego lepszego - zresztą całkowicie nieodpowiedniego - mężczyznę, którego poznała. Nie tłumaczyło też, dlaczego wydała wszystkie swoje pieniądze na kupno rozpadającego się ze starości domu. Może chciała w ten sposób zapuścić gdzieś wreszcie korzenie?

No i miała teraz te swoje korzenie. Miała dom, a nawet rodzinę w postaci dziewczyn, które uczyły się u niej i pracowały. Naturalnie, nie miała męża. Odszedł - i dzięki Bogu!

No więc dlaczego nagle poczuła taką przerażającą pustkę?

I dlaczego chciała stąd uciec?

Znów zadzwonił telefon. Tym razem słuchawkę podniosła Pam.

- Marike? - odezwała się do rozmówcy. - Zaraz. Zobaczę, czy jest. - Zakryła słuchawkę dłonią i zerknęła na szefową. - Dzwoni jakiś William Lambert.

Marike ze złością potrząsnęła głową. Nie miała teraz ochoty pertraktować z urzędnikami ani wdawać się w pogawędki z nadopiekuńczymi mężami.

- Powiedz mu, że wyszłam.

- O ile sobie przypominam, powiedziałaś kiedyś, że kłamstwo prowadzi do zguby - wtrąciła się Tania, zerkając na Marike znad

nowoczesnej maszyny do szycia, którą próbowała właśnie okiełznać.

- Ja nie kłamię - odparła Marike, zarzucając na ramiona pelerynę w kolorze orchidei. - Pilnujcie interesu - rzuciła, odwróciła się na pięcie i wyszła.

Na zewnątrz owionął ją chłód mroźnego zimowego powietrza. Marike odetchnęła głęboko pełną piersią i nareszcie poczuła się wolna.

William Lambert trzasnął słuchawką i zawiesił na niej posępny wzrok. Z godziny na godzinę dzień układał się coraz gorzej i nic nie zapowiadało zmiany na lepsze. Wyrzwał przez okno eleganckiego biurowca, położonego w samym centrum Chicago. Niebo było posępnie zasnuwane chmurami, zanosilo się na śnieżycę. Nic nie szło mu tak, jak planował.

Przyszedł do pracy o szóstej rano. Jak zwykle. Oduczył się bycia śpiochem; zresztą nie lubił spać sam. Nie lubił też spać z kimś. W ogóle nie lubił snu. Uważał go za stratę czasu. Zawsze kalkulował, ile rzeczy można byłoby zrobić zamiast spania. Przyszedł więc o szóstej, potem dłużył się w jakichś dokumentach, a potem... A potem dopadła go ta cholerna chandra.

Thelma, zawsze lojalna zastępczyni i wierna asystentka, musiała wyczuć tę frustrację, bo kiedy wyszedł ze swojego gabinetu, spojrzała tylko w jego udręczone oczy i szybko uskoczyła mu z drogi.

- Powiedziałam już, że się tego nie podejmę - powiedziała.

- Thelmo, jesteś kobietą i na pewno znasz się na tych rzeczach. -

William starał się uspokoić, by jego głos brzmiał łagodnie i przekonująco. Jednak pracująca u niego od pięciu lat Thelma nie dała się zwieść.

- Ja naprawdę nie mam pojęcia o rodzeniu dzieci - odparła z bezradnym westchnieniem. - I jeszcze raz powtarzam, że nie pójdę kupować sukienek ciążowych dla twojej siostry. Już od wieków nie widziałam się z Rickiem. Gdyby się dowiedział, a dowiedziałby się na pewno, to... Poza tym samo słowo „ciąża” przyprawia mnie o ciarki.

- Nie proszę cię, Thelmo, żebyś zaszła dla mnie w ciążę - wyjaśnił jej cierpliwie. - Proszę tylko, żebyś pojechała do tej projektantki i wybrała kilka ubrań dla Lindsay. Czy to naprawdę tak wiele?

- Owszem - odparta, odgarniając kosmyk kasztanowych włosów z pięknej twarzy. - A poza tym, jeśli rzeczywiście tak się troszczysz o Lindsay, to dlaczego sam nie pojedziesz kupić jej tych ubrań? Dla ciebie znalazłam ten sklep, a nawet dowiedziałam się, jak nazywa się jego właścicielka. Czego jeszcze ode mnie wymagasz? A zresztą, nawet nie odpowiadaj. Nie pójdę i koniec.

Will spojrzął na Thelmę z rezygnacją. Wiedział, że nic już nie działo. Ta kobieta była nie tylko piękna i inteligentna, ale też nieugięta w negocjacjach. Czasami myślał nawet, że nadawałaby się na szefa Lambert Publications znacznie bardziej, niż on sam. Z pewnością nie poradziłby sobie bez niej z całą tą stertą magazynów dla wyższych sfer, jakie wydawali z niestąbnym powodzeniem od kilku lat.

- Thelmo... - spróbował jeszcze raz w nadziei, że zmięczy jej stanowczość.

- Nic z tego - ucięła. - I nie zadawaj sobie trudu, żeby prosić Susan. Ona też tego nie robi.

- Kim jest Susan? - zapytał z zaciekawieniem, zanęcony nową perspektywą rozwiązania swojego kłopotu.

- Jest nowym wydawcą „Wielkich Kreatorów Mody”. To ona znalazła Marike i Dom Nadziei. Ale powiedziałam ci już, że ona też tam nie pojedzie.

- Niby dlaczego nie?

- Bo sama ją o to prosiłam. Czas wydorośleć, Lambert. Czas zainteresować się rodziną, dziećmi, nawet ciążą, czymkolwiek jeszcze poza pracą. Przypominam ci, że Lindsay nie wystarczy już fakt, że dostanie od ciebie kolejny czek. Ona spodziewa się ciebie zobaczyć. A jeśli nawet nie zobaczy ciebie, to kiedy dostanie od ciebie sukienki, zrozumie, że musiałeś ruszyć się z biura. Dla niej. Zobaczysz, że doceni tę ofiarę.

- Dlatego właśnie prosiłem...

- Nic z tego. Odwołałam wszystkie twoje popołudniowe spotkania. Nie zanosz się na żadną katastrofę ani zamieć, a dojazd do Derbyfield zajmie ci pół godziny. Pojedź tam, wybierz całą stertę ubrań w naj-

modniejszym sklepie dla kobiet w ciąży, a potem wracaj szybko do biura, bo jeszcze spodoba ci się na zewnątrz.

- Bardzo śmieszne - mruknął Will. - Możesz podać choć jedną przyczynę, dla której cieszy cię to, że cierpię?

Thelma posłała mu uśmiech, który zniewoliłby każdego mężczyznę. Will jednak zbyt długo ją znał, żeby dać się nabrać.

- Czas wydorosnąć - powtórzyła - i stawić czoło obowiązkom.

- Od dziesięciu lat, odkąd tylko przejąłem tę firmę, stawiam czoło obowiązkom.

- Nie o tym myślę.

- Więc o czym? - warknął.

- Domyśl się i daj mi znać - odparła słodko Thelma.

- Zwalniam cię.

- Chciałbyś. Nie dasz sobie beze mnie rady. No dobra, jedź już do tego Derbyfield, a ja dopilnuję interesów, jak zwykle zresztą.

To prawda. Thelma miała talent, doświadczenie i intuicję, tak potrzebną do pracy w biznesie wydawniczym. Nie spotkał nikogo równie zdolnego, odkąd dziesięć lat temu przejął po ojcu wielką korporację i z niechęcią rozpoczął żywot menedżera i przedsiębiorcy. Czasami zdarzało mu się myśleć, że to Thelma powinna była być dzieckiem starego Wilhelma Lamberta, a zarazem jego spadkobierczynią.

- Dobrze. Pojadę tam - oświadczył z rezygnacją. - Ale wiedz, że nie napawa mnie to radością.

Thelma uśmiechnęła się do niego z aprobatą.

- Ha, jeszcze tego by brakowało!

Will lubił prowadzić samochód, z przyjemnością wyjechał więc na autostradę poza miastem. Miał po-dzielną uwagę. Z jednej strony koncentrował się na drodze, z drugiej myślał o wczorajszej, zroszonej łzami rozmowie z siostrą. Lindsay była od niego dziesięć lat młodsza. Była szczęśliwą żoną profesora uniwersytetu w Northwestern. Po trzech latach starań wreszcie zaszła w ciążę, jednak pierwsza radość z poczęcia ustąpiła z czasem miejsca niezadowoleniu z powodu swojego wyglądu. Niby błahostka - on jednak kochał bardzo swoją siostrę i każde jej

nieszczęście było jego nieszczęściem.

Lindsay czuła się „wielka jak krowa, ociążała, paskudna, niekochana i wycieńczona tym wszystkim”. Nie miała komu się zwierzać, bo nawet Phil, jej mąż, nie miał już do niej cierpliwości. Lindsay zwróciła się więc do kochanego braciszka, dokładnie tak samo jak kiedyś, gdy ona miała dziesięć lat, a on dwadzieścia.

Mimo że ostatnio Lindsay skończyła dwadzieścia pięć, miała już w przeciwieństwie do niego własne życie i własną rodzinę. Niby była bardziej doświadczona, kiedy jednak ogarniało ją przygnębienie, zwracała się ufnie do brata, on zaś wspierał ją wtedy, jak mógł. Czasami nawet skutecznie. Teraz czekały ją jeszcze trzy miesiące ciąży, które jej brat miał uczynić bardziej znośnymi. Znow miał ją uratować. Tak jak dziesięć lat temu, gdy na rozległy zawal zmarł ich ukochany ojciec.

Thelma, choć była złośliwa, miała rację. Lindsay oczekiwała czegoś więcej niż wypisania kolejnego czeku. On też powinien czerpać z życia więcej niż obecnie. Nie może przecież poświęcać się i być niewolnikiem pracy, która tak naprawdę w ogóle go nie interesuje. Z tuzina magazynów, które wydawał Lambert Publications, Will nie poświęcił więcej czasu żadnemu z nich oprócz „Historycznych Renowacji”. Z jakiejś niewyjaśnionej przyczyny błyszczące zdjęcia starych framug i belek dawały mu dziwne ukojenie.

Ale jak tu wyrwać się z tego kieratu, kiedy liczą na ciebie pracownicy, czytelnicy, akcjonariusze? Will starał się więc, jak mógł. Przewycięzał niechęć i poświęcał każdą minutę swego życia na ciężką pracę.

Po co więc studiował, skoro mierziło go to wszystko? Po co mu dyplom prawnika, i inne, które zrobił później? Ano właśnie, po co?

Och, oczywiście, cenił sobie swoje bogactwo. Nie zamierzał machnąć na pieniądze ręką i z tobołkiem na kiju wyruszyć w świat. W wieku trzydziestu pięciu lat był już jednak zmęczony obrotem akcjami, inwestowaniem, tworzeniem biznesplanów, opracowywaniem strategii i analizowaniem rynku. Był zbyt młody, żeby owo zniechęcenie tłumaczyć kryzysem wieku średniego. Miał nadzieję, że kryzys ten nie dotknie go co najmniej przez najbliższych pięć lat. Fakt jednak pozostawał faktem -

praca nie dawała mu już satysfakcji. Coraz częściej miał wrażenie, że chętnie zrobiłby coś... konkretnego.

Hm, ale co? I dokąd by go to zaprowadziło?

Teraz pomyślał na pocieszenie, że zakupy dla siostry będą pierwszym kroczkiem we właściwym kierunku. Niby nic, prawda? A jednak dla kogoś, kto nigdy sam nie robił zakupów albo zamawiał je przez telefon, bo szkoda mu było czasu, to całkiem spore wyzwanie.

Zdjął lekko nogę z gazu. Mandat byłby kroplą, która przepełniłaby czarę goryczy tego dnia. Spokojnie, pomyślał, po co się tak spieszyć. Thelma zwolniła go z obowiązków i miał dzisiaj do wykonania już tylko jedno zadanie - odnaleźć Dom Nadziei, zamówić ładne, ale stateczne ubrania ciężowe, które poprawią humor jego nieszczęśliwej siostrze i... hm, no właśnie... i jak najszybciej wrócić do biura.

Poczuł ssanie w żołądku i przypomniał sobie, że na śniadanie wypił tylko kawę. Nie było to zresztą nic niezwykłego. O jedzeniu rano często po prostu zapominał. Wieczorami z kolei był już zbyt zmęczony, żeby o nim na serio myśleć, więc zazwyczaj kończyło się na podgrzaniu jakiegoś gotowego dania. Na szczęście gospościa przychodziła do niego trzy razy w tygodniu i dbała, żeby lodówka zawsze była pełna.

Zgubił się. Derbyfield było małym, malowniczym miasteczkiem na dalekich przedmieściach Chicago. Rozwój urbanistyczny sprawił, że miejsce to stało się sypialnią dla mieszkańców pobliskiego molocha. W urokliwym Derbyfield można było natrafić na resztki wiktoriańskiej zabudowy, Will był jednak daleki od zachwycania się urokiem tego miejsca. Wąskie, kiepsko oznaczone uliczki doprowadzały go raczej do szału. Było już dobrze po trzynastej, kiedy wreszcie dotarł do monstrualnych rozmiarów budynku, w którym mieścił się szukany przez niego dom - Dom Nadziei.

Spojrzał na ów dom i skrzywił się z obrzydzeniem, widząc elewację w kolorze lawendy z białymi, błękitnymi i różowymi zdobieniami. Krzykliwe barwy szpeciły dostojny gmach. Willowi przyszła do głowy myśl, że cały ten Dom Nadziei wygląda tak, jakby chciał zadrwić z tych, którzy nań patrzą i spodziewają się ujrzeć szacowną architekturę w

niedoc bardziej gustownym przebraniu.

Od razu zauważył, że dach wymaga remontu. Obramowanie balkonu na trzecim piętrze też. Właściciel powinien włożyć pieniądze w renowację, zamiast w te karykaturalne zdobienia, pomyślał. A zresztą, co go to wszystko obchodzi. Musi wejść do tego ohydztwa, kupić kilka ciuszków i jak najszybciej się stąd zabierać.

Drzwi wejściowe były w kolorze błękitu nieba. Mało tego, namalowano na nich nawet białe pierzaste chmurki. W skwaszonym nastroju, w jakim był Will, miał ochotę przedziurawić chmurkę, ale zamiast tego skoncentrował się na staroświeckim dzwonku, na którym wymyślną czcionką napisano: „Zadzwoń i wejdź”. Nie wiedzieć czemu, Will poczuł się nagle jak Alicja w krainie czarów, która wpadnie za chwilę do króliczej nory.

Mógł się domyślać, że wewnątrz budynku będzie równie dziwaczne, jak jego fasada, nie spodziewał się wszakże, że od ferii barw rozboli go głowa. Z lewej strony huczała jakaś maszyna. Po prawej był pokój przyjęć - coś pomiędzy wiktoriańskim buduaem, a komnatą szejka. W rogu holu ułożone były bele najrozmaitszych materiałów, obok zaś stały manekiny, owinięte egzotycznie wzorzystym sukniem, udrapowanym w miejscu zaokrąglającego się brzucha.

- W czym mogę pomóc? - nieśmiało zapytała drobna, jasnowłosa nastolatka o rumianych policzkach i w zaawansowanej ciąży.

Oho, jest i królik we własnej osobie, pomyślał Will i odparł szybko:

- Chciałbym kupić ubrania ciążowe.

- Marike! - zawołała dziewczyna i po chwili uśmiechnęła się do Willa. - Szefowa zaraz zejdzie. Jest w złym humorze, więc niech pan uważa. Proszę przejść do pokoju obok. Przyniosę panu ziołową herbatkę.

- Ziołową? Nie, nie, dziękuję.

- Marike nalega, żeby częstować gości ziołową herbatą. - W głosie dziewczyny dało się wyczuć nutę niepokoju. - Nikt nie wychodzi od nas, jeśli jej nie spróbuje.

A zatem ta twoja Marike musi być niezłą jędzą, pomyślał kwaśno Will.

- Może macie państwo kawę?
- O, nie! Żadnej kofeiny. - Dziewczyna pokręciła głową. - To niedobre dla ciężarnych.
- Nie jestem ciężarny.
- Kto to wie? - Dziewczyna wybuchnęła śmiechem. - Niech pan zaczeka, zobaczę, co się da zrobić.

Will nie miał wyboru. Zgodnie z poleceniem przeszedł do sąsiedniego pomieszczenia i z jeszcze większym niż wcześniej przygnębieniem spojrzął na otaczającą go dżunglę barw.

Okna pokoju wychodziły na martwy zimowy ogród. Pośrodku sterczał kikut czegoś, co kiedyś było altanką - zresztą bardzo piękną. Ruina krzyczała jednak o remont. Will ze smutkiem pomyślał, że właściciel pewnie chętnie pomalowałby ją na turkusowo.

Muszę się stąd jak najszybciej wydostać, pomyślał, siadając ciężko na twardej sofie. Zerknął na swój złoty zegarek, próbując pohamować zniecierpliwienie. Dopiero wtedy uświadomił sobie, że nie jest sam.

Podniósł wzrok - wyżej i jeszcze wyżej. O takich sytuacjach pisze się w książkach, że „Willowi ze zdumienia opadła szczęka”, pomyślał mimochodem. Zaraz potem wstał i przekonał się, że kobieta, która przyszła go powitać, ma co najmniej metr osiemdziesiąt wzrostu, niezwykłą, przykuwającą wzrok urodę i Bóg jeden wie jaki kolor włosów.

Spuścił lekko wzrok, a tu było jeszcze ciekawiej - piękna bluzka w księżycowo-gwiazdzisty wzorek, do tego dzinsy i bose stopy. Czy ta istota o egzotycznej twarzy, lekko skośnych oczach, wygiętych w ostry łuk brwiach, obfitych ustach i ostro zarysowanych kościach policzkowych, jest szefową owego Domu Nadziei?

Will miał nadzieję, że tak.

ROZDZIAŁ 2

Kiedy wstał z przeładowanej ozdobnymi poduszkami sofy, Marike ze zdziwieniem zauważyła, że jest od niej wyższy. Chciała założyć pantofle na obcasie, ale w końcu zrezygnowała z tego pomysłu. I tak zazwyczaj nawet boso górowała wzrostem nad mężczyznami, którzy przychodzili do jej domu.

Błąd taktyczny, ale niewielkiego kalibru, pomyślała. Ten facecik jest trochę za chudy, choć - przyznała szybko - ma silne, dobrze umięśnione ciało. I garnitur od Armaniego, spostrzegła z kwaśną miną. Marike nie znosiła mężczyzn w garniturach. Źle jej się kojarzyli, a to za sprawą krótkiego małżeństwa z Danielem.

Mimo to musiała przyznać, że ten garnitur jest wyjątkowy. Spojrzała na twarz stojącego na wprost niej mężczyzny...

Kolejny błąd, skarciła siebie w myślach. Pociągnęła twarz, mądre oczy, inteligentny uśmiech. Ale zbyt długie i zaniedbane włosy, oceniła szybko. W każdym razie taka fryzura nie pasuje ani do rolexa na nadgarstku, ani do Armaniego.

Tyle że jest wyjątkowo twarzowa. No i znów te oczy, niesamowicie zimne, stalowe, oczy pokerzysty.

Patrząc na niego, Marike pierwszy raz od lat poczuła, że uginają się pod nią kolana.

- Mam na imię Marike - rzuciła, wyciągając energicznie dłoń.

Dłonie miała zgrabne i silne, jego jednak były silniejsze. Większe. Piękniejsze. Marike ogarnął niepokój, który wzmógł się jeszcze, kiedy jej gość nieznacznie się uśmiechnął. Wyjątkowo zmysłowe usta, pomyślała natychmiast. I cholernie seksowne dłonie. Całe zresztą ciało, ubrane w ten ekskluzywny garnitur, było bardzo seksowne. I wcale nie chudziutkie, jak z początku myślała. Raczej zgrabne i szczupłe.

Uff, dzięki Bogu, że ten przystojniaczek ma żonę.

- Gdzie pańska żona? - zapytała od razu.

- Nie jestem żonaty.

No proszę, a to ci niespodzianka! Skoro nie jest żonaty, to powinna czym prędzej poszukać czegoś, co zniechęciłoby ją do tego amancika. W przeciwnym razie będzie myślała o nim po nocach.

- W takim razie gdzie jest pańska ukochana? - zapytała. - Nie wiem zresztą, jakie określenie pan preferuje: partnerka, dziewczyna, kobieta, panna, laska, kochanka, matka pańskiego dziecka...

- Moja siostra - przerwał jej spokojnie.

- Boże - wyrwało jej się i natychmiast przysłoniła usta dłonią. - Pańska siostra jest matką pańskiego nienarodzonego dziecka? Czy wie o tym policja?

Mężczyzna przestał się uśmiechać i popatrzył na nią cierpliwie.

- Moja siostra i jej mąż oczekują swojego pierwszego dziecka - wyjaśnił z ledwo słyszalną nutą irytacji. - Siostra w walentynki ma urodziny. Pomyślałem sobie, że na poprawę humoru kupię trochę odpowiednich do jej stanu kreacji, żeby poczuła się... piękniejsza - dodał nieporadnie. - Może ma pani coś w granatach?

- W granatach? - Marike zmrużyła oczy. - I pewnie z małym białym kołnierzykiem?

Gość był zbyt inteligentny, by nie wychwycić ironii w jej słodkim uśmieszku.

- A co, lepiej nie? - zapytał, domyślając się szybko, że nie trafił w gusta swej rozmówczynie.

- Lepiej nie - odparła Marike. - Nie żyjemy w czasach królowej Wiktorii. Kobiety nie muszą ukrywać swojej ciąży i udawać, że to bocian przynosi im dzieci. Dziecko rozwija się w brzuchu matki, a widok ciężarnej jest cudem, który należy czcić i odpowiednio ozdabiać.

- Ozdabiać? - zawtórował jej z zainteresowaniem.

- Wolałby pan, żeby brzemiennie kobiety ukrywały przed światem swoje brzuchy, panie...?

- Lambert - odpowiedział. - Will Lambert.

- No więc żebym miała jasność, panie Lambert... Chciałby pan dla swojej siostry coś w odcieniu dyskretnego granatu. Jeszcze jakieś sugestie? - Naigrywała się z niego i nawet nie próbowała tego ukrywać.

Will zauważył to, ale bynajmniej nie dał się zirytować.

- Czy ja wiem? Może coś, co by się nie gnioło i łatwo prało? Wie pani, powinno być maksymalnie praktyczne. Zaraz... jest taki materiał... poliester? - rzucił na próbę. - Tak to się nazywa, prawda?

Marike spojrzała na niego z politowaniem.

- Proszę usiąść, panie Lambert - powiedziała z westchnieniem. - Zrobię panu krótkich wykład na temat kobiecych strojów, zgoda?

Will nie ruszył się z miejsca.

- Pani wybaczy, Marike. Nie potrzebuję żadnych wykładów. Chcę tylko kupić siostrze coś, co sprawi jej przyjemność, a potem wrócić do pracy.

Marike nie poczuła się urażona. Will Lambert był konkretny, najwyraźniej dbał o siostrę i nie wyglądał na takiego, co ma węża w kieszeni. W sumie robił bardzo pozytywne wrażenie.

- Nie, panie Lambert - powtórzyła z naciskiem. - Proszę usiąść.

Większość mężczyzn, słysząc ten stalowy ton, bez dalszych sprzeciwów siadała potulnie na kanapce, a potem potakiwała i stosowała się posłusznie do jej sugestii. Poza tym Marike zwykle górowała nad nimi wzrostem oraz pewnością siebie. Z Lambertem - Willem Lambertem - sprawa przedstawiała się nieco inaczej. Lekko przechylił głowę i popatrzył na nią równie nonszalanckim wzrokiem, jakim ona mierzyła jego. Potem zaś rozsiadł się na sofie i ze swobodą wyciągnął nogi.

- Zgoda. Proszę zaczynać - rzekł, wyciągając dłoń po filiżankę espresso, którą przyniosła mu jedna z pracownic Domu Nadziei. - I tak ten dzień przeznaczyłem już na straty. Aha, może mi pani mówić po imieniu, po prostu Will - uśmiechnął się czarująco.

- Will? - Marike znów zmrużyła oczy. - Ale chyba nie ten William Lambert z Lambert Publications?

- Skąd pani wie?

- A więc jednak ten - uśmiechnęła się lekko. - W zeszłym roku jeden z pańskich magazynów zamieścił o mnie artykuł. Był naprawdę dobry, nie miałam żadnych zastrzeżeń. Mimo to postanowiłam się czegoś

dowiedzieć o wydawnictwie i jego właścicielu. Widzisz, Will, taką mam naturę, że lubię wiedzieć, co biorę do ręki. Przeczytałam zresztą inne teksty z tego wydania. Dowiedziałam się na przykład, że jest pan jednym z najbardziej pożądanych kawalerów w Chicago. To dla mnie zaszczyt - uśmiechnęła się słodziutko - że zawitał pan w moje skromne progi.

Will zmarszczył brwi.

- Chyba niezbyt mnie pani lubi, prawda?
- Dlaczego?
- Przecież słyszę, że pani kpi. Zastanawiam się tylko, czy ta niechęć dotyczy tylko mnie, czy też zawsze próbuje pani onieśmielić swoich klientów.

- Dobrze pan powiedział: klientów.
- Nie rozumiem.
- Próbuje onieśmielić klientów płci męskiej - wyjaśniła rozbrajająco, siadając naprzeciwko Willa. - Bawią mnie. A jeszcze bardziej irytują. Mają zły nawyk kierowania ciężarami swoich żon. Czasami mam wrażenie, że dla siebie kupują te sukienki. No i nie lubię facetów w garniturach - dodała prowokująco - nawet jeśli jest to Armani.

Will spojrzał odruchowo na swój nienagannie skrojony garnitur.

- Ma pani wprawne oko.
- To mój zawód.
- Mogę zdjąć marynarkę, jeśli ma pani poczuć się lepiej.

Marike uśmiechnęła się mimo woli. Sprawiała jej satysfakcję ta słowna szermierka, bowiem po raz pierwszy od dawna znalazła godnego siebie przeciwnika.

- Niech się pan nie fatyguje. Jakoś ją zniosę. Proszę mi lepiej opowiedzieć o siostrze. Ile ma wzrostu? Jakie lubi kolory? W którym jest miesiącu ciąży? Co kocha, a czego nienawidzi?

- Myślałem, że przyszedłem kupić jej ubranie, a nie umówić na seans z psychoterapeutą.

Marike odczekała chwilę, patrząc na niego z ostentacyjną cierpliwością, a wtedy Will uśmiechnął się i poddał.

- Jest niska - poinformował. - Ma około metra siedemdziesięciu.

- To nie jest niska.
 - Biorąc pod uwagę naszą rodzinę, jest. Ma ciemne włosy i jasną karnację. Jest piękna, bardzo słodka, ale też bardzo emocjonalna. Irracjonalna i porywcza, nawet gdy nie jest w ciąży. Teraz bardziej porywcza niż kiedykolwiek...
 - Zazwyczaj tak jest. Który to miesiąc?
 - Chyba bardziej zaawansowany niż u pani. Chyba szósty, nie pamiętam dokładnie. Ale brzuch ma w każdym razie ogromny.
- No tak, nie on pierwszy myśli, że jestem w ciąży, westchnęła w duchu Marike. Ale on będzie ostatni.
- Bardziej zaawansowany niż u mnie? - zapytała, udając zainteresowanie. - A w którym według ciebie jestem miesiącu, Will?
 - Rozumiem. Pani nie jest w ciąży - odparł Will, orientując się, że popełnił nietakt.
 - Nie.
 - Proszę wybaczyć. Zasugerowałem się tymi dziewczynami, które tu pracują. Wszystkie pani pracownicy są w ciąży, więc...
 - To samotne matki - wyjaśniła krótko Marike. - Daję im schronienie i pracę. Uczę je, żeby umiały w przyszłości dbać o siebie i dziecko. Robię to od pięciu lat, panie Lambert.
 - Bardzo szlachetnie.
 - Prawda? - Popatrzyła na niego z nienaturalnie miłym uśmiechem.
 - Pani naprawdę mnie nie lubi.
- O, nie, mój drogi, odparła w myślach. Jest wręcz przeciwnie. I w tym właśnie tkwi szkopuł.
- Proszę mi wybaczyć - powiedziała pojednawczo.
 - Od rana mam zły dzień. Wracając do naszej rozmowy, nie przypuszczam, żeby wiedział pan, jaki rozmiar nosi pańska siostra, ale...
 - Moja asystentka wie - przerwał jej natychmiast.
 - Zna jej rozmiar, ulubione kolory, datę urodzin...
 - Rozumiem, że to ona kupuje dla niej prezenty. Dlaczego i tym razem nie chciała pana wyręczyć?
 - Cóż, po prostu odmówiła - odparł ponuro Will.

- Obawiała się chyba, że wszyscy pomyślą, że to ona jest w ciąży.
- Czy to wstyd?
- Może ona tak myśli.

- Biedactwo. Ile to dziewczę ma lat? - zapytała znacząco, jakby chciała zasugerować, że głupota wiąże się ściśle z młodym wiekiem. Kiedy jednak zorientowała się, że mogła urazić Willa tą złośliwą uwagą, uśmiechnęła się przeproszająco. - Bardzo pana przeproszam. Nie wiem, co we mnie wstąpiło.

- Nieważne - odparł Will i wbił w nią wzrok pełen poirytowania i zniecierpliwienia. - To jak? Chce pani ze mną ubić ten interes, czy nie?

Proste pytanie. Marike najchętniej powiedziałaaby prawdę - żeby Will Lambert poszedł sobie w diabły. Co z tego, że jego gazety nie napiszą już nigdy o Domu Nadziei? Co z tego, że on sam i jego szacowna rodzina są w zarządach organizacji charytatywnych, które bardzo przydałyby się jej podopiecznym po skończeniu szkoleń? Może to wszystko zrobić sama. Zawsze robi wszystko sama, więc nie będzie żałować, kiedy ten wygadany przystojniaczek pójdzie sobie wreszcie. Zwłaszcza że coraz bardziej zaczyna jej się podobać.

- Będę zaszczycona, jeśli wybierze pan w naszym sklepiku garderobę dla swojej siostry - odparła z udawaną skruchą. Rzadko używała tego tonu, nie wiedziała więc, czy udało jej się osiągnąć właściwy efekt. Chyba nie, bowiem William Lambert popatrzył na nią z jeszcze większym zniecierpliwieniem, po czym odparł z równie nienaturalną grzecznością:

- To się nazywa właściwe podejście do klienta.

- W rzeczy samej. Nasz klient, nasz pan. A może by pańska asystentka zadzwoniła do mnie i podała szczegóły dotyczące pańskiej siostry? Mogłaby nawet przysłać jej fotografię. Przedstawiłabym jej swoje propozycje, które później pan by tylko zatwierdził.

W ten sposób nie musiałabym więcej pana widzieć ani o panu myśleć, dokończyła w duchu. Nie wiedziała dlaczego, czuła jednak, że kolejne spotkania z Williamem Lambertem mogłyby okazać się dla niej wyjątkowo niebezpieczne.

Z równie niewiadomej przyczyny Will nie wydawał się zachwycony pomysłem Marike.

- Brzmi rozsądnie - rzekł wprawdzie, podnosząc się z sofę, lecz już po chwili zgłosił zastrzeżenia: -Tylko czy o to mi naprawdę chodziło?

- No, nie wiem. Myślę jednak, że to praktyczne rozwiązanie.

- Cóż, dobrze. Powiem Thelmie, żeby...

Nie dokończył zaczętego zdania, bowiem nagle zbladł, zachwiał się i gdyby go w porę nie złapała, upadłby na podłogę. Na szczęście Marike była silną kobietą. Popchnęła go na sofę i ułożyła jego głowę na swoich kolanach, próbując zignorować widok nagiej umięśnionej szyi, wystającej pomiędzy kołnierzyka eleganckiej koszuli.

- Źle się pan czuje? - zapytała z troską w głosie. Po chwili jednak przyszła jej do głowy inna myśl. -A może coś pan brał? Lekarstwa? Amfetamina?

Will wyprostował się szybko i niezdarnie roześmiał. Jego twarz nadal była blada, ale na kościach policzkowych czaił się rumieniec - rumieniec zawstydenia.

- Przepraszam - mruknął. - Nie amfetamina, lecz kofeina. Za dużo kawy, za mało snu.

- I pewnie jedzenia. Kiedy pan jadł ostatnio?

- Nie pamiętam.

- Rano?

- Zazwyczaj nie zawracam sobie głowy śniadaniami.

- A lunch?

- Zamiast go zjeść, przyjechałem tutaj. Ale naprawdę proszę się nie martwić. Czuję się już całkiem dobrze. W drodze powrotnej kupię sobie coś do jedzenia, obiecuję.

- Otóż nie. Nie wypuszczę pana stąd, dopóki pan nie zje. Jest pan w stanie przejść do kuchni, czy mam przynieść coś tutaj?

- Proszę posłuchać - uśmiechnął się z zakłopotaniem. - Czuję się dobrze, nic mi nie jest i niczego nie potrzebuję.

Marike wstała z miejsca. Nie miała zamiaru się kłócić. Wolą postawić go przed faktem dokonanym.

- Zaraz coś panu przyniosę.

Will ruszył za nią, więc z początku chciała go odesłać z powrotem na sofę, przemyślała jednak sprawę i uznała, że nie będzie go więcej zawstydzac. I tak, biedaczysko, musiał ciężko przeżyć to wydarzenie. Zapewne swoje zaślubnięcie odebrał jako kompromitację i porażkę w tej swoistej potyczce, którą toczyli od jego przyjscia. Nawet nie wiedział, jak bardzo zmiękczył jej tym serce.

No, nie martw się, pysiaczku, myślała, patrząc na jego skonsternowaną minę, to nie twoja wina, że jesteś taki fantastyczny. Nie przeszkadza mi nawet ten twój garnitur.

- Proszę usiąść.

Wskazała mu odrapany stół kuchenny. Do tej pory nie wydała nawet grosza na remont kuchni. Wystarczało jej, że jest dobrze zaopatrzona i że mają z dziewczynami co jeść. Wyjęła talerz, który pamiętał początki tego domu, i zaczęła rozglądać się za pieczywem.

- Nie ma pan uczulenia na orzeszki ziemne? - zapytała, obficie smarując grzankę masłem orzechowym.

- Nie. - Will pokornie usiadł za stołem.

- A na mleko?

Will wykrzywił twarz.

- Nie jestem uczulony na mleko, ale go nie lubię.

- Trudno, pański organizm potrzebuje wapnia. - Marike postawiła na stole masło orzechowe, kanapkę i szklankę mleka. Zrobiła przy tym minę osoby, która nie znosi wszelkiego sprzeciwu.

Will sceptycznie spojrział na podany mu posiłek.

- Od dwudziestu lat nie jadłem masła orzechowego.

- W takim razie przeżył pan dwadzieścia lat, nie zaznawszy jednej z największych przyjemności, jakie daje nam życie - rzekła Marike, siadając na wprost niego. - Proszę chociaż wypić mleko.

Zaczął jeść - posłusznie i wolno - a Marike z radością obserwowała, jak na twarz wracają mu kolory. Chyba specjalnie zachowywał się jak mały chory chłopiec, bowiem jego oczy już nabrały blasku i łobuzersko zerkały znad talerza.

Marike poruszyła się niespokojnie, bowiem ten figlarny wzrok odebrał jej nagle pewność siebie. Co, u licha, mogło go tak rozbawić - jej przymusowa gościnność, karmazynowe włosy, wysoki wzrost, czy też coś całkiem innego?

- Na co pan patrzy? - zapytała.
- Na panią. Matkuje pani każdemu, kto wpadnie pani w ręce, prawda? - zapytał i upił z tłumioną odrazą łyk mleka. - Ma pani dzieci?
- Nie.
- Dlaczego?
- W tej chwili nie jestem zamężna, a w głębi serca jestem konserwatystką.
- Ciekawe połączenie.
- Chciałam powiedzieć, że moim zdaniem dzieci powinny się wychowywać w pełnej rodzinie, z ojcem i matką.

Zanim zdążyła zareagować, Will sięgnął przez stół i dotknął wierzchem dłoni jej włosów.

- Powiada pani, że jest pani konserwatystką? - zapytał. - Dziwne, myślałem, że nie są takie miękkie - dodał, zmieniając nagle temat.
- Co?
- Pani włosy. Podoba mi się...
- Co się panu podoba?
- Te włosy - uśmiechnął się swoim czarującym uśmiechem. - I w ogóle pani, Marike, cała pani osobowość.

Nieżyły jest, przyznała niechętnie. Stracił na chwilę rezon, ale już odzyskuje pole i próbuje przejąć inicjatywę. Ale ona nie z takimi donżuanami miała do czynienia.

- Widzę, że już się pan dobrze czuje, panie Lambert - oświadczyła sucho, podnosząc się z krzesła. - Proszę przysłać tutaj kogoś ze zdjęciami i informacjami dotyczącymi pańskiej siostry, a ja zobaczę, co się da zrobić. Tylko niech pan nie zapomni, bo mamy mało czasu. Walentynki są za niecałe dwa tygodnie.

- Dziękuję bardzo, choć mam wrażenie, że proszę o zbyt wiele - odparł podejrzenie pokornym głosem.

- Och, dla Lambert Publications zrobię wyjątek.
- Nie chodzi o Lambert Publications. To osobista przysługa.
- Niech będzie - odparła nadąsanym nieco tonem, który przyszedł jej z trudem wobec kolejnego czarującego uśmiechu, jaki zaserwował jej Will.

Mężczyźni nie powinni być tak zabójczo piękni, gdy się uśmiechają, pomyślała z rozpaczą. Zwłaszcza tacy jak William Lambert, przystojniak w garniturku, który z całą pewnością ma gdzieś drobną, szczupłą przyjaciółkę, z którą spędza wieczory po pracy. Opowie jej pewnie w klubie albo w restauracji, jak to trafił na Horpynę w jakimś odrapanym domu na przedmieściach, i obydwójce będą się z tego śmiać. A potem pojedą tym jego srebrnym lexusem do jakiegoś szikownego mieszkanca na ostatnim piętrze wieżowca w modnej dzielnicy i wypróbują pozycję numer czterdzieści siedem ze snobistycznego wydania „Kamasutry”.

Kiedy odprowadzała Willa do drzwi, jej serce wciąż biło szybciej niż zwykle. Wytłumaczyła sobie, że to z nerwów - bez wątpienia William Lambert miał na nią niepokojący wpływ.

- Tania! - zawołała. - Odprowadź pana Lamberta do samochodu!

Odwróciła się na pięcie i już chciała wracać do kuchni, gdy Will chwycił ją nagle za rękę i uściskał jej z uśmiechem dłoń. Uścisk był mocny, skóra chłodna i - co ją zdziwiło - szorstka. Marike była tak zaskoczona, że nawet nie próbowała protestować.

Po chwili, kiedy doszła do siebie, odwzajemniła uścisk i cofnęła się o krok.

- Dziękuję, że nas pan odwiedził, panie Lambert - odezwała się uprzejmym tonem profesjonalistki. - Proszę dostarczyć mi informacje o pańskiej siostrze najszybciej, jak to możliwe. Nie chciałabym pana rozczarować.

- Na pewno mnie pani nie rozczaruje - odparł łagodnie i zanim Marike zdążyła przemyśleć te słowa, już go nie było.

ROZDZIAŁ 3

Po raz pierwszy od wielu lat Will Lambert nie wrócił po lunchu do pracy. Po opuszczeniu Domu Nadziei wsiadł do auta i pojechał prosto przed siebie.

Wciąż prószył śnieg, ale na szczęście drogi były przejezdne. Zwykle Will jechał jak szaleniec, żeby jak najszybciej dojechać do biura. Miał dobry wóz, który bez trudu osiągał zawrotną prędkość i świetnie radził sobie z zaśnieżoną czy też mokrą nawierzchnią. Tym razem jednak Will nie miał ochoty wypróbować możliwości swojego auta. Nie wiedział, dokąd właściwie jedzie, wiedział tylko, że potrzebuje czasu na uporządkowanie myśli, a spokojna, niespieszna jazda w przypadkowym kierunku najwyraźniej temu służyła.

Powinien teraz właściwie zadzwonić do Thelmy i poprosić ją o jak najszybsze przesłanie zdjęcia oraz listy upodobań swojej siostry. Potem mógłby umówić się z Taylor Hotchkiss, świeżą rozwódką, która ostatnio ciągle do niego wydzwaniła. Tym razem on by zadzwonił i zapytał, co Taylor robi wieczorem. Być może wybiłby sobie w ten sposób z głowy natrętą myśl o tym, że jest taka kobieta jak Marike, dziwna, intrygująca kobieta o karmazynowych włosach i silnych dłoniach. Może przestałby fantazjować, jak by to było, gdyby te dłonie pieściły jego ciało.

Śnieg właściwie przestał padać. W powietrzu wirowały już tylko pojedyncze płatki. Thelma miała rację, mówiąc, że ominie nas zawierucha, pomyślał. W takich sprawach Thelma zwykle się nie myli.

Tak samo myślał teraz o swoich odczuciach po spotkaniu z Marike - miał nadzieję, że ominie go zawierucha i że w jego sercu nie rozpęta się burza; że to, co poczuł, wychodząc z Domu Nadziei, było czymś przelotnym i nietrwałym, jak te pojedyncze płatki śniegu, które zaraz opadną na ziemię i roztopią się bez śladu. A na pewno stanie się to szybciej, jeżeli sprawę zakupu garderoby dla Lindsay powierzy Thelmie.

Ni stąd, ni zowąd wpadł w złość, że w taką pogodę jedzie nie wiadomo dokąd, zaniedbując obowiązki zawodowe. Ostatnie dziesięć lat

zachowywał się rozsądnie, podejmował wyważone i mądre decyzje. Co tam dziesięć lat - całe życie się tak zachowywał! Nawyku kierowania się rozsądkiem nauczyli go rodzice, szkoła, studia prawnicze...

Tylko czy ten rozsądek nie zagłuszył w jego duszy czegoś ważnego?

Po przemyśleniu sprawy postanowił zlecić Thelmie zakup ubrań i umówić się z Taylor. Z jakiejś nieokreślonej przyczyny nie chciał tego wieczora być sam. Pewnie pójda razem na kolację, a Taylor wypłacze mu w koszulę wszystkie swoje smutki. Kto wie, może nawet się prześpią. Kiedyś było im dobrze w łóżku, a Will od dłuższego czasu nie miał stałej partnerki.

Dojeżdżał już prawie do domu, kiedy uświadomił sobie, że jest głodny. Potwornie głodny! Miał do wyboru albo podjechać do francuskiej restauracji, gdzie zwykle jadał, albo kupić coś w spożywczym obok domu, w którym mieszkał.

Wewnętrzny głos podpowiedział mu, że w „L'Arbre d'Or” nie podadzą mu masła orzechowego ani grzanek. A nie wiedzieć czemu, właśnie na te rzeczy miał największą ochotę.

Marike starannie odłożyła słuchawkę na widełki i przez chwilę siedziała nieruchomo za biurkiem. Rozmowa, którą przed chwilą odbyła, kosztowała ją wiele wysiłku. Wprawdzie właśnie ją zakończyła, ale wciąż czuła się tak, jakby ogarnęła ją gorączka, choć w rzeczywistości nic jej przecież nie dokuczało.

- Co się stało? - zapytała Tania, widząc rumieńce na policzkach szefowej.

Marike odwróciła się do niej z bladym uśmiechem i popatrzyła na olbrzymi brzuch Tani. Dziewczyna lada chwila miała rodzić i była wykończona ciążą. Marike nalegała, żeby dziewczyny w dziewiątym miesiącu dbały przede wszystkim o siebie, a mniej zajmowały się obowiązkami, związanymi z prowadzeniem Domu Nadziei, jednak Tania nie słuchała tych rad i zawsze lubiła być tam, gdzie coś się dzieje - czyli tam, gdzie była Marike.

- Dzwonił mój były mąż - powiedziała niedbale.

- Ten szczur, co uciekł z inną? - Tania znała w zarysach historię

nieudanego małżeństwa szefowej.

- Ten szczur - przytaknęła Marike, nie zamierzając nawet bronić Daniela. - Jego nowa żona jest w ciąży. Chciał dla niej zamówić garderobę.

Tania z wrażenia otworzyła szeroko oczy.

- U ciebie? Podły szczur! Marike wzruszyła ramionami.

- Projektowanie to mój zawód. Problem w tym, że chciał dostać zniżkę.

- Wyjątkowo podły szczur! - sprecyzowała Tania. - I co mu powiedziałaś?

- Słyszałaś.

- No właśnie, nic nie słyszałam. Żadnej obelgi. Facet zostawił cię bez grosza, a ty...

- Nie chciałam jego pieniędzy.

- Powinien był zapłacić chociażby za to, że cię oszukiwał, a potem rzucił.

- E tam, nie warto psuć sobie zdrowia. Już dwa lata minęły, odkąd się rozwiedliśmy, więc czas wyciągnąć wnioski.

- No i jakie wnioski wyciągnęłaś po dwóch latach?

- Że nie cierpię facetów w garniturach.

- Nawet tak cudnych jak ten, który dzisiaj tu był?

Celny cios, pomyślała Marike. Odkąd William Lambert opuścił Dom Nadziei, robiła wszystko, co było w jej mocy, żeby o nim nie myśleć. Niestety, z mizernym powodzeniem.

- Kogo masz na myśli, Taniu? - zapytała niewinnie. - Męża Grace, tego Edwarda?

- To był żart, prawda? - Tania popatrzyła na nią z politowaniem. -

Nie próbuj udawać, że nie wiesz, o kim mówię. O tym wysokim przystojniaku z rozmarzonym wzrokiem. Tylko nie mów, że nie zwróciłaś uwagi na jego oczy!

- Zwróciłam. Rzeczywiście ładne - potwierdziła Marike. - Ale teraz nie mężczyźni mi w głowie, moja droga. Muszę załatwić pewną sprawę.

- Oczywiście - mruknęła Tania. - Ja nic nie mówię.

Marike nie mogła powstrzymać uśmiechu. Spośród jej kilkunastu podopiecznych to właśnie Tania miała największe doświadczenie, była najmądrzejsza i najbardziej dorosła. Da sobie dziewczyna radę, pomyślała z zadowoleniem.

- No więc już nie kochasz Pana Szczura?

- Nie - odparła Marike i nawet nie drgnęła jej przy tym powieka.

Choć jednak było to za każdym razem gładkie kłamstwo, teraz ze zdziwieniem spostrzegła, że nie czuje się, jakby mówiła nieprawdę. Gdy zaś to sobie uświadomiła, spłynął na nią błogi spokój. Nie kocha Daniela... Hm, może i rzeczywiście nie kocha?

- No i dobrze - Tania z aprobatą skinęła głową - możesz więc spokojnie rozważyć kandydaturę tego przystojniaczka.

- Tego z rozmarzonymi oczami?

- Przecież nie mówię o tym kapciu!

- Nie nazwałabym Edwarda kapciem. A jeśli chodzi o Willa, to pewnie już się nie zobaczymy. Chodziło o jego siostrę. Wszystkie dotyczące jej dane przysłał pocztą kurierską. Od tej pory będziemy się porozumiewać przez jego asystentkę.

- Odstraszyłaś go celowo, prawda?

- Nie wiem, czy musiałam aż go odstraszać. Może sam postanowił, że nie pojawi się tu więcej.

- Może. Ale i tak musisz przyznać, że był atrakcyjny, no nie? Nawet w tym swoim garniturze.

Marike wróciła myślami do Willa Lamberta. Przypomniała sobie jednak nie jego garnitur, ale głębokie spojrzenie stalowoszarych oczu, zdradzających duszę prawdziwego artysty.

Szybko jednak doszła do wniosku, że artyści nie noszą ubrań od Armaniego i nie zarządzają wielkimi korporacjami. A poza tym Will Lambert nie był jedynym wyższym od niej mężczyzną w Chicago. Oprócz niego Marike mogła wymienić co najmniej dwunastu koszykarzy z Chicago Bulls, którzy na pewno górowali nad Willem wzrostem.

Mimo wszystko miło wspominała tę jego wizytę. Uznała, że poznanie Willa Lamberta może potraktować jak dobry omen. Skoro zwróciła

uwagę na jednego mężczyznę, to może zauważy też innego, trochę bardziej osiągalnego. Może nie tak przystojnego, nie tak bogatego, ale z fantazją i artystycznym smakiem. Może nie światowca w garniturze Armaniego, lecz kogoś swojskiego, o ciepłym wejrzeniu i silnych dłoniach. No a oczy mogą być takie jak u Lamberta.

Will obudził się o piątej rano.

Sam. Sam z wyboru. Obudził się w wielkim łóżu zaścianym luksusową pościelą, wśród półmroku zimowego ranka. Taylor dała mu bardziej niż wyraźnie do zrozumienia, że mogłaby go ogrzać tak, jak kilkanaście lat temu, ale Will taktownie i delikatnie odrzucił jej propozycję. Z upływem lat Taylor z kochanki stała się jego przyjaciółką i nie mógł jej oceniać w innych niż przyjacielskie kategoriach.

A poza tym piękne i gładkie niegdyś ciało Taylor straciło jakoś w jego oczach swój powab i blask. Will obserwował więc, jak jego przyjaciółka grzebie widelcem w zamówionej w restauracji sałatce i z przykrością sobie uświadamiał, że nijak nie ma apetytu - ani na Taylor, ani na sałatkę. Zjadłby raczej masła orzechowego.

Odwożąc Taylor do domu, pocałował ją tylko w policzek, bowiem nie mógł się zmusić, by przygarnąć i przytulić jej udreżone kolejnymi dietami ciało. Zresztą, do czego tu się przytulać, do wystających kości? Ostatecznie do niczego między nimi nie doszło, z czego on był zadowolony, a ona, niestety, rozczarowana. Will miał nadzieję, że Taylor uleczy to rozczarowanie kartonikiem pozbawionych kalorii lodów, które zje pewnie zaraz po przyjeździe do domu. Nic tak podobno nie koi zawiedzionych kobiet, jak porcja lodów albo bombonierka eleganckich czekoladek.

Nagle uświadomił sobie, że chciałby zobaczyć, jak te czekoladki trafiają do ust Marike. Zastanawiał się, czy najpierw by je nagryzła, żeby zobaczyć, czy jej smakują. A może wepchnęłaby sobie od razu kilka do ust, rozkoszując się ich smakiem? Już wyciągał rękę po telefon, gotów zamówić dla niej pudełeczko, ale w ostatniej chwili się powstrzymał.

Nawet jeśli Marike zje te jego czekoladki, on i tak nie zobaczy, jak to robi. Bo przecież odkąd poleciał Thelmie, by „pilotowała dalej sprawę”,

nie miał powodu, żeby jeszcze kiedykolwiek wybrać się do Domu Nadziei i spotkać się z jego właścicielką.

Na śniadanie zjadł obwarzanek, posmarowany masłem orzechowym. Pierwszy raz przyszedł do biura po dziewiątej. W ramach lunchu połknął trzy brzoskwinie z puszki, zagryzając tostem, posmarowanym - oczywiście - masłem orzechowym. Pracę skończył wczesnym popołudniem, a potem po prostu siedział beczynnym w swoim gabinecie, spoglądając przez okno na padający śnieg.

- Pozwoliłam wszystkim iść dzisiaj wcześniej do domu - oświadczyła Thelma, wyrrywając go z zamyślenia. - Podobno ma być okropna śnieżycyca.

Will odburknął coś pod nosem, nie odrywając wzroku od zasnutego zimowymi chmurami nieba.

- Rozmawiałaś dzisiaj z Marike? - zapytał znienacka po chwili.
- Kto to jest Marike?

Will natychmiast wstał z fotela.

- Jak to kto? Ta projektantka. Miałaś jej posłać zdjęcia i wymiary Lindsay, zapomniałaś? Jeśli tak, to muszę natychmiast tam pojechać. Mamy mało czasu, bo walentynki już...

- Wszystkiego dopilnowałam - przerwała mu Thelma. - Nie wiedziałam tylko, że ona tak się nazywa.

- Ale czy na pewno dotarły do niej te zdjęcia? Nie zawieruszyły się gdzieś po drodze? Jeśli tak, to może lepiej...

- Kurier przywiózł mi potwierdzenie odbioru. Wszystko jest pod kontrolą.

- Ale skąd ona ma wiedzieć, co uszyć? Nie złożyłem przecież właściwie żadnego zamówienia...

- Powiedziałam jej, żeby sama zdecydowała, i podałam limit cenowy. Zrobiłam to, co zazwyczaj każesz mi robić w takich sytuacjach.

- Tym razem jednak sytuacja jest trochę bardziej skomplikowana - oświadczył, kręcąc głową z poważną miną. - Najlepiej będzie, jeśli pojedę tam osobiście. W końcu Lindsay jest moją siostrą, prawda? Te ubrania są dla niej bardzo ważne, więc nie powinienem zdawać się w tej

sprawie na nikogo. Czas wydorosnąć, wziąć na siebie pewne obowiązki.

Na ustach Thelmy zaigrał domyślny uśmieszek.

- Tak jest, szefie. Ale czy naprawdę chcesz jechać tam teraz? W taką burzę?

- Och, w Chicago spędziłem większość życia. Wiem, jak się jeździ w czasie zamieci. Skąd możemy wiedzieć, czy nie będzie padać przez najbliższy miesiąc? A walentynki przecież tuż-tuż.

- Właśnie, dobrze, że mi przypomniałeś. Czy chcesz, żebym wysłała walentynkowe czekoladki i kwiaty tym co zawsze? Nie myśl, że jestem wścibska, ale... czy ty i Taylor...?

- Nie! - Will prawie krzyknął. - Nie - powtórzył spokojniej. - Taylor to moja przyjaciółka i nikt więcej. Między nami mówiąc - zmrużył oczy - ona nie jest za bardzo w moim typie.

- Ciekawe. Zawsze była. Szczupła, elegancka, wyrafinowana. Kiedy to zmienił się twój gust?

- Wczoraj.

Will nie chciał tego powiedzieć na głos. Nie chciał się nawet do tego przyznać przed samym sobą. Ale i tak nie miało to znaczenia. Thelma znała go na wylot i odgadłaby wszystko, co próbowałby przed nią zataić.

- Hm, czy ma to może jakiś związek z twoim nagłym zamiłowaniem do masła orzechowego? - zapytała.

- Możliwe.

- A z pewnym sklepem w Derbyfield?

- Całkiem prawdopodobne.

- Rozumiem. W takim razie sugeruję, żebyś wyjechał, zanim na dobre się rozpada.

Przechodzę kryzys wieku średniego, myślał Will dwie godziny później, jadąc w burzy śnieżnej zatłoczoną autostradą. Śnieg był tak gęsty, że nie pomagały światła ani wycieraczki. Widoczność była fatalna, a na drodze utworzył się korek. Dokąd jadą ci wszyscy ludzie? Czy mają równie pilną sprawę, jak ja, pytał siebie z coraz większym zniecierpliwieniem.

Zerknął na swoje odbicie w lusterku wstecznym, zastanawiając się po raz kolejny, co w niego wstąpiło. Zamiast od razu jechać do Derbyfield,

podjechał najpierw do domu, żeby się przebrać. Potem, stojąc w korku, rozmarzył się, że jest teraz w ciepłej kuchni u Marike, zajada kanapkę z masłem orzechowym i popija espresso, albo nawet mleko czy tę przeklętą ziołową herbatkę. Obojętnie. Wypiłby wszystko, co podałyby mu Marike. Obrażałyby go i dręczyła swoimi złośliwościami, a on nie miałby nic przeciwko temu. Wiedział już, że przegrał, że usidliła go i zdobyła jego serce.

Och, nie, czy ma siedemnaście lat, żeby wierzyć w miłość od pierwszego wejrzenia? A jednak Marike spodobała mu się od razu. I wcale nie chodziło tylko o to, że bawiła go słowna utarczka z tą inteligentną kobietą. Thelma również była inteligentna, błyskotliwa, a przy tym doskonale piękna. A jednak wobec Thelmy nie miał nigdy takich jednoznacznych zamiarów i myśli. Marike wzbudzała w nim pożądanie. Tak, pożądanie. Intrygowała go, ciekawiła, podobała mu się jej egzotyczna uroda, ale przede wszystkim czuł niezwykle silne pożądanie. Nic dziwnego, że po dwudziestu czterech godzinach od pierwszego spotkania skapitulował i teraz jechał do niej, nie zważając na nic.

Jak na złość, śnieg padał coraz intensywniej. Will był już kilka ulic od Domu Nadziei, gdy jego lexus zakopał się w zaspę. Dodał gazu. Potężne opony zakręciły się w śniegu, lecz samochód ani drgnął.

Co ja tu, u licha, robię, pomyślał, kręcąc z niedowierzaniem głową. Przecież mam telefon komórkowy. Mógłbym sprowadzić pomoc drogową, która odholowałaby mnie do domu. Jestem stuknięty, że w taką zamieć wyjechałem po zmierzchu.

Zmarzył, zanim pieszo dotarł do domu Marike. Stojąc na ganku, rozejrzał się wokół siebie. Cały świat był pogrążony w bajkowej bieli. Oprócz dalekiego dźwięku muzyki i dziewczęcego chichotu dochodzącego z któregoś z pięter Domu Nadziei nie było słychać nic więcej. I te dźwięki zamarty, gdy przycisnął dzwonek.

Odczekał całe dwie minuty, trzęsąc się z zimna i zniecierpliwienia. Potem znów nacisnął dzwonek. Drzwi z piskiem odchyliły się na szerokość łańcucha i przez szparę zobaczył bujną czuprynę tej, do której

jechał.

- W czym mogę panu pomóc? - zapytała. - Zabłądził pan? Zaraz wezwiemy pomoc drogową. Przykro mi, ale nie mogę pana wpuścić do środka.

- Przemarzę na kość - odparł Will, stukocząc zębami.

- Przykro mi...

- Niech mnie pani wpuści, Marike - poprosił, klnąc na siebie w duchu za to, że tu przyjechał. Ta zimowa wyprawa do Derbyfield nie była chyba jednak dobrym pomysłem. - Nie zamierzam czekać na ganku - znów się odezwał podenerwowanym głosem. - Walentynki za dwa tygodnie. Sama pani mówiła, że nie może się doczekać...

- Ja nie mogę się doczekać? - zapytała, mocno zdziwiona.

Najwyraźniej nie poznała go dotąd i pewnie w ogóle zapomniała o jego istnieniu. A on się łudził, że od wczorajszego dnia Marike nie myślała o nikim innym!

- Chodzi o moją siostrę - wyjaśnił cierpliwie. - Lindsay Lambert.

Zbliżają się jej urodziny.

- Ach, Will Lambert! - zawołała. W jej głosie nie było jednak słyhać zachwytu. Raczej przerażenie. - Nie rozpoznałam pana w tej czapie - roześmiała się niepewnie. - Co, na Boga, pana tu sprowadza? O tej porze?

- Już powiedziałem. Przyjechałem, żeby omówić z panią szczegóły, dotyczące ciężowej garderoby mojej siostry. Moja asystentka powiedziała, że będę niewdzięcznym bratem, jeśli nie zrobię tego osobiście.

- Rozumiem... - Marike nadal zerkąta na niego niepewnie przez szparę w drzwiach.

- Wpuści mnie pani do środka, czy będzie wysuwać belki materiału przez tę szparę? - zapytał z narastającym zniecierpliwieniem.

Marike zamknęła drzwi. Przez chwilę Will zastanawiał się, czy je w ogóle jeszcze otworzy. Ale kiedy usłyszał brzęk łańcucha, niepewność rozwiata się.

- Proszę tylko strzepnąć z siebie ten śnieg. Wygląda pan jak yeti!

- Tak też się czuję. - Will strzepnął z siebie biały puch i wszedł do środka. Marike nie zamknęła drzwi, więc gwałtowny podmuch wiatru sypnął śniegiem na korytarz. - Nie uważa pani, że należałoby zamknąć za mną drzwi?

Marike westchnęła z rezygnacją jak skazaniec idący na egzekucję i popchnęła drzwi, które zatrzasnęły się głucho.

- Proszę zdjąć z siebie mokre rzeczy i przejść do pokoju.

Will był przemoczony do suchej nitki, ale doszedł do wniosku, że Marike nie proponuje mu rozebrania się do rosołu. Zdjął więc tylko płaszcz i podążył za nią do pokoju. Nagle zatrzymał się i popatrzył na Marike. Tak jak poprzednio, miała białe stopy, lekko wilgotne od roztopionego śniegu, który wtargnął z podwórka na korytarz. Ponadto miała na sobie zapiętą wysoko przy szyi suknię, stylizowaną na kimono z kolorowego sukna w egzotyczne wzory.

Dostrzegła, że się w nią wpatruje, i postąpiła mu podejrzliwe spojrzenie.

- Gdzie pani podopieczne? - zapytał niewinnie, żeby odwrócić jej uwagę. - Wydawało mi się, że słyszałem z zewnątrz ich głosy.

- Zostawiły mnie, niewdzięcznice - odparła gorzko. - Pewnie wyczuły, że pan przyjedzie.

- Dlaczego miałyby panią zostawić z mojego powodu?

- Mają swoje powody. A tak naprawdę poszły już do łóżek. Wiedzą, bestie, że nie mogą ich stamtąd wyciągnąć.

- Nie może pani wejść do nich na górę? Dlaczego? Marike uśmiechnęła się do swoich myśli i potrząsnęła lekko głową.

- Nieważne. No dobrze, czego pan potrzebuje, panie Lambert? Z rozmowy z pańską asystentką dowiedziałam się, że sama mam przygotować projekty strojów i wybrać wzory tkanin. Strasznie mi przykro, że pan się fatygował, bo już to wszystko zrobiłam. Ubrania dla pana siostry są prawie gotowe. Ma pan jeszcze jakieś życzenia?

Tak, żebyś mnie poczęstowała masłem orzechowym, odpowiedział w myślach. I żebyś przestała się zachowywać jak wiktoriańska matrona.

- Skoro już tu jestem, to może moglibyśmy usiąść i porozmawiać o

tym projekcie? - zapytał z uwodzicielskim uśmiechem.

Marike zamknęła na moment oczy.

- Nie.
- Nie możemy usiąść?
- Nie, ja nie mogę usiąść. Nie mogę wejść po schodach. Nie mogę zrobić niczego, dopóki nie opuści pan tego miejsca.
- Ale dlaczego? - zapytał Will, całkowicie zaskoczony.
- Dlatego - odparła, rozchylając kimono.

RRS

ROZDZIAŁ 4

Will otworzył szeroko oczy i... omal nie wybuchnął śmiechem.

- Co... co to jest? - zapytał, siląc się na powagę. - Kostium na bal przebierańców? Zbroja z przeceny?

- To wzór manekina z taśmy izolacyjnej. - Marike spuściła wzrok na swoje ciało, lśniąca srebrzyście ściśle oplatającymi ją zwojami taśmy.

- Słyszałem, że taśmę izolacyjną można wykorzystać na tysiąc sposobów, ale ten wykracza poza granice mojej wyobraźni. Ma pani coś pod spodem, czy tylko tę taśmę?

Marike skarciła go wzrokiem.

- Najpierw nakłada się długi T-shirt, a dopiero na niego taśmę.

- A jak się pani jej pozbędzie? Zakładając oczywiście, że będzie pani chciała jeszcze kiedyś wejść po schodach, usiąść, czy skorzystać z łazienki.

Ma niezły ubaw, pomyślała kwaśno Marike. Czy naprawdę musiał tutaj przyjeżdżać? Och, marzyła, żeby przyjechał, ale czemu, na miły Bóg, właśnie teraz?

Uśmiechnęła się mimo woli. Zdawała sobie sprawę, że wygląda żałośnie - jak dziwna Walkiria, przyodziana w srebrną zbroję, która szczelnie zakrywa jej ciało od szyi do ud.

- Dziewczyny miały mnie z tego uwolnić, jak skończymy.

- Hm, to jeszcze nie koniec?

- Miały być kolejne dwie warstwy.

- Może pomogę? - Will szybko rozejrzał się wokół. Dostrzegł rolkę taśmy i wziął ją do ręki. - W ramach wdzięczności za tak szybkie potraktowanie mojej sprawy mogę nieodpłatnie położyć jeszcze jedną lub dwie warstwy.

Tak, tego by jeszcze brakowało! Will Lambert, który owija taśmą izolacyjną moje piersi i biodra, pomyślała w popłochu Marike. To wspaniale, że ma na to ochotę, ale wszystko ma jednak swoje granice.

- Właściwie to już skończyliśmy - rzuciła jednym tchem. - Gdyby pan tylko zechciał poprosić jedną z dziewcząt, żeby rozcięła formę...

- Och, po co? Ja to mogę zrobić.

Teraz już była pewna, że otwarcie z nią flirtuje. Spojrzała w jego rozbawione, zapraszające i prowokujące oczy i poczuła przelotny dreszczyk podniecenia. Postanowiła odpowiedzieć na wyzwanie, podjąć grę. Dziewczyny i tak na pewno gdzieś się ukryły, więc gdyby nawet Will zaczął ich szukać, nie dadzą się odnaleźć.

- Dobrze - powiedziała z udawanym znużeniem. - Nożyce leżą na stole.

Odwróciła się do Willa plecami, bo nie miała odwagi dalej patrzeć mu w oczy. On zaś już po chwili stanął tuż za nią i zapytał:

- Gdzie mam przeciąć?

Marike zadrżała, czując na szyi jego ciepły oddech.

- Od dołu, w górę... w stronę pleców... w zygzak. W miarę możliwości nie przecinając jednak mojej bielizny.

- Postaram się.

- Ani skóry.

- Mhm - mruknął i położył ostrożnie jedną dłoń na jej talii, drugą zaś, uzbrojoną w nożyczki, zaczął ciąć.

Choć dotykał jej przez kilka warstw taśmy, czuła wyraźnie ciepło jego dłoni. Coś kiepska ta izolacja, pomyślała, wstrzymując oddech, kiedy nożyce zaczęły wślizgiwać się pod taśmę i dotknęły jej nagiej skóry.

- Wygląda pani jak kosmitka - odezwał się cicho.

- Niech pan poczeka, aż zobaczy pan, co jest pod spodem. Śruby i sprężynki obciążnięte wypreparowaną skórą.

- Nie wygląda mi na wypreparowaną - zamruczał. - raczej na żywą, jędrną i... ciepłą - dokończył, dotykając na moment jej boku wierzchem dłoni. - Gotowe. Co dalej?

- Teraz proszę zdjąć to ze mnie. Tylko delikatnie, żeby nie uszkodzić modelu. I proszę zamknąć oczy. Chyba nie powinnam paradować przed panem w samej bieliźnie.

- Chyba? Nie sądziłem, że ma pani wątpliwości. Jeśli tak, możemy to

przedyskutować.

Rzeńskie powietrze, które owionęło ją po zdjęciu taśmy, Marike uznała za błogosławieństwo po męczarniach, jakie znosiła w tym szczelnie zaciśniętym kokonie. Will ściągnął wprawnym ruchem pancerz z jej ciała, a ona czym prędzej owinęła się swoim kimonem. Wciąż czuła na ciele dotyk silnych męskich dłoni - zapamiętany jeszcze z pierwszej wizyty Willa.

- Sama pani zaprojektowała to kimono?
- Dlaczego pan pyta? - zapytała podejrzliwie. Teraz, kiedy była w miarę normalnie ubrana, powinna czuć się znacznie swobodniej, a jednak wciąż była skrępowana i zmieszana. Spojrzała na Willa, który obejmował srebrzysty model manekina, i wyobraziła sobie przez chwilę, że to ją tak obejmuje.
- Ot, z ciekawości - odpowiedział z niewinnym uśmiechem.
- Podoba się panu?
- Na pani, tak.
- To komplement, dobrze odgadłam?
- I to podwójny. Mogłaby pani uszyć takie dla mojej siostry, kiedy Lindsay urodzi już to dziecko.
- Mogłabym.
- Z drugiej strony, nie wiem, czy chciałbym fotografować siostrę w takim stroju. To kimono jest niepowtarzalne. No i trochę za bardzo działa na wyobraźnię. Rozumie pani, siostra i takie skojarzenia...
- Rozumiem. Niech pan więc zamówi taki model dla którejś ze swoich przyjaciółek - Marike uśmiechnęła się słodziutko.
- Hm, tylko dla której? Nie mam obecnie żadnych przyjaciółek. Pewnie więc skończy się to wszystko tak, że na zawsze zapamiętam wzór tego kimona na pani...

Marike zdążyła już przyzwyczaić się do myśli, że Will niewinnie z nią flirtuje. Myślała jednak, że skończy się na wymianie kilku dwuznacznych uwag, a potem przejdą do meritum - to jest do Lindsay i jej ciążowych sukienek. Tymczasem William Lambert wyraźnie nie nudził się tą przetykaną aluzjami konwersacją. Bawi się, czy też naprawdę chodzi mu

o coś więcej?

- Niech pan pozwoli, ja wezmę Brunhildę - odezwała się po chwili milczenia, ściskając się mocniej szarfą w pasie.

- Brunhildę? - zdziwił się Will.

- Tak nazwałyśmy tego manekina.

- To raczej Walkiria. Taka potężna...

- Tak samo jak ja - Marike uśmiechnęła się krzywo. - Niech pan nie zapomina, że to forma zdjęta z mojego ciała.

- Nie zapominam, Marike. Jest pani...

- Potężna? Wiem o tym. Jestem pół Dunką. Płynie we mnie krew Wikingów. Niech pan więc uważa.

Will odstawił manekina na stół.

- Mam uważać? - powtórzył i przysunął się bliżej. - A na co?

Boże, nawet głos ma seksowny, kiedy zaczyna tak mruścić, pomyślała w popłochu Marike. Cały jest męski, od oczu, przez dłonie, po głos. Co za pech, że pojawił się akurat teraz, a nie za rok albo półtora. Od jej rozvodu minęły dopiero dwa lata i wciąż pełna była uprzedzeń. Nie była gotowa do nowych znajomości, a już na pewno nie z mężczyzną „z górnej półki”.

Chciała zacząć nowe życie z kimś bardziej zwyczajnym, nie tak zmysłowym i tak uwodzicielskim.

Odwróciła się od niego na wszelki wypadek, lecz on podążył krok za nią - cicho, uparcie, bez słowa. Podeszła do ściany, oparła się o nią i znów zwróciła ku niemu twarz. Will stał na wprost niej i wpatrywał się jednoznacznym spojrzeniem w jej oczy. Potem zaś wsunął palce w gąszcz jej włosów i wyszeptał, wyraźnie przejęty:

- Boże, jest w tych włosach coś...

- Co?

- W tej chwili moja dłoń - odparł, zmieniając nagle ton, a potem pocałował ją z zaskoczenia.

Marike nie odsunęła się ani nie wyszarpnęła. Zamknęła oczy i pozwoliła mu na tę pieśczętę. Rozkoszowała się dotykiem jego palców i wolnym, hipnotyzującym pocałunkiem. Westchnęła cicho, co Will od-

czytał jako zachętę i sięgnął śmieiej do jej talii. Przycisnął ją lekko do swojego sprężystego ciała, gdy zaś Marike poczuła go całą sobą, uległa mu i w pożądaniu rozchyliła szerzej usta.

Opamiętanie przyszło równie nagle, jak uległość. Już po chwili odskoczyła na bok tak gwałtownie, że z rozpędu uderzyła głową we framugę drzwi. Była wdzięczna Willowi, że bez oporu ją wypuścił, ale nie miała odwagi spojrzeć mu w oczy. Podniosła wzrok dopiero wtedy, gdy dzieliła ich długość pokoju.

- Nie - powiedziała chwiejnym głosem, patrząc na niego z odległości trzech metrów.

- Co nie? - zapytał spokojnie. - Nie, bo ci się nie podobało? Nie, nie rób tego więcej? Nie, bo nie znosisz facetów w garniturach od Armaniego? Przecież teraz nie mam na sobie garnituru.

Istotnie. Miał na sobie sprane dzinsy i starą flanelową koszulę, miękką, ciepłą i przytulną. Do tej pory myślała o nim jak o kimś nie z tego świata, niedosięgłym ideale, niedostępnym dla postronnych szefie wielkiej firmy, zasiadającym na swym tronie w gabinecie jakiegoś chicagowskiego wieżowca. Teraz jednak, kiedy ją pocałował, wiedziała już, że to człowiek z krwi i kości, mężczyzna, którego można dotknąć, smakować, czuć.

- Nie powiedziałam, że mi się nie podobało. Po prostu powiedziałam „nie”.

Na ustach Willa pojawił się lekki uśmiech.

- Czy to „nie” dotyczy dnia dzisiejszego, czy też obejmuje całą przyszłość?

- Nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy to jeszcze kiedykolwiek powtórzyć.

- Dziwne, przecież tu nie trzeba wyobraźni. Wystarczy zdrowy rozsądek, Marike...

Wpatrywała się w niego dłuższą chwilę, wreszcie odezwała się zmienionym tonem:

- Mam na imię Mary. Mary Jensen. Marike to mój zawodowy pseudonim.

- Pasuje do ciebie, Mary.
- Nikt już tak się do mnie nie zwraca. Teraz jestem Marike.
- Może i dla wszystkich jesteś Marike. Ale dla mnie niech będzie Mary, zgoda? Odpowiedz mi zatem, Mary: Czy zamierzasz przede mną uciec, czy też pozwolisz się wreszcie porządnie pocałować?
- Dlaczego? - Popatrzyła na niego teraz już otwarcie i szczerze.
- Bo chcę cię całować. A ty chcesz być całowana.

Miała wrażenie, że w jej skórze jest ktoś inny. Wydawało się jej nieprawdopodobne, że to ona - mądra i rozsądna Marike, ta sama, która ciężarnym nastolatkom radziła myśleć częściej głową, a nie tylko sercem. A jednak to była ona, Mary Jensen we własnej osobie, kobieta ze złamanym sercem, uprzedzona do mężczyzn, jeszcze do wczoraj pewna, że żadnemu z nich nie pozwoli się do siebie zbliżyć. Kobieta, która podeszła teraz do Willa Lamberta, zarzuciła mu na szyję ramiona i z walącym jak młot sercem obdarzyła go najbardziej namiętnym pocałunkiem, na jaki pozwalała jej wyobraźnia.

W przedziwny sposób miękkie jedwabne kimono rozluźniło się nagle, a flanelowa koszula zsunęła z szerokich ramion. Marike poczuła pod dłońmi mocny, twardy tors. Przesunęła dłonią niżej i poczuła wyraźnie, jak jej kochanek jest podniecony. Nic się teraz dla niej liczyło. Wiedziała tylko, że po trzech długich latach znów pragnie się kochać. Bardzo pragnie...

Nagle w sali telewizyjnej na piętrze rozległ się huk, który wypełnił cały dom. Krzyk, który podniósł się chwilę później, był jeszcze głośniejszy. Marike wyrwała się z ramion Willa i popędziła po schodach na górę.

W pokoju telewizyjnym zastała Tanię, która leżała na podłodze i jęczała z bólu. Dwie dziewczyny klęczały nad nią, wszystkie trzy płakały. Na ekranie telewizora migotał jakiś wideoklip nadawany przez MTV, jedna z szyb w oknie była zbita, a do pokoju sypał się śnieg.

Marike w mgnieniu oka zorientowała się, co się stało. Tani odeszły wody i zaczął się poród.

- Widziałyśmy, jak upada. Złapała się zaślonki. Wtedy spadł karnisz i

wybił szybę... - tłumaczyła szybko Pam. - Myślałam, że się zraniła, ale chyba wszystko jest w porządku. Co robimy? Mam zagotować wodę?

- Zadzwoń po pogotowie - odezwał się Will, który również wszedł na górę. Był zadziwiająco spokojny, czym zupełnie nie przypominał większości mężczyzn, którzy w podobnej sytuacji z reguły wpadali w panikę. - Chyba że jesteście w stanie odebrać poród tutaj.

- Nie. Dzwoń po pogotowie - szybko zdecydowała Marike. - Chodźcie, dziewczyny. Wynieśmy ją z tego zimna i posprzątajmy, zanim się zjawią lekarze.

- Ty zadzwoń - powiedział Will. - Ja ją wyniosę. - Uklęknął i uniósł lekko trzęsącą się dziewczynę w ramionach.

Tania to łkała, to popiskiwała z bólu. Dwie pozostałe dziewczyny też były o krok od hysterii.

- Pokażcie Willowi, dokąd ma ją zanieść. Ja zadzwonię po karetkę - zakomenderowała Marike. - I uspokójcie się, proszę. W najgorszym wypadku sama odbiorę poród. Myślę jednak, że dla nas wszystkich byłoby lepiej, gdyby Tania urodziła w szpitalu. No już, Pam, znajdź jej jakieś czyste ubrania. Ellie, sprawdź, czy ma spakowane rzeczy do szpitala. A ty, Will, bądź ostrożny. Zanieś ją do salonu i połóż na sofie.

- Tak jest, proszę pani - odparł Will podejrzliwie pokornym tonem, ale Marike nie miała teraz czasu, by analizować, co to oznacza.

Zanim karetka pokonała śnieżne zasy i dotarła do Derbyfield, Tania miała już skurcze co trzy minuty. Marike była bliska łoża. Kiedy karetka dojechała do szpitala, lekarze natychmiast przewieźli rodzącą do sali intensywnej opieki, zostawiając trzy pozostałe kobiety w poczekalni.

Wszystkie były wycieńczone i w stanie szoku.

- A gdzie się podział nasz przystojniaczek? - nagle ożywiła się Pam.

- No właśnie. Popsułyśmy ci randkę, no nie? - westchnęła Ellie.

- Nie widziałam go, kiedy wychodziłyśmy. Pewnie wrócił tam, skąd przyjechał - odparła Marike.

- To znaczy?

- Do swojego świata w Chicago, do garniturów i randek z modelkami. On do nas nie pasuje.

- Do nas? - zapytała Pam.
- Do Derbyfield. Nie wiem, co go skłoniło, żeby przyjechać w taką zamieć.
- Naprawdę nie wiesz? - Pam pokręciła z niedowierzaniem głową. - Myślałam, że jesteś bardziej domyślna. On ma na ciebie oko.
- Nie wygłupiaj się. Poznaliśmy się dopiero wczoraj. Jesteś młoda, więc może wierzysz w miłość od pierwszego wejrzenia, ale takie bzdury to już nie dla mnie.

- No więc dlaczego się tak zachowujesz?

- Niby jak? - Marike spojrzała na nią z miną niewiniątka.

W tej samej chwili w drzwiach stanął lekarz. Popatrzył na nie z poważną miną, odszukał wzroku Marike i powiedział:

- Pani Jensen? Niestety, przy porodzie Tani Smith pojawiły się komplikacje. Wygląda na to, że przed nami długa noc. Jeśli panie zechcecie wrócić do domu, skontaktujemy się telefonicznie, w razie gdyby zaszły jakieś zmiany.

- Nie. - Marike potrząsnęła zdecydowanie głową. - Zostaniemy.

- Dobrze - westchnął lekarz. - To nawet lepiej. Na pewno miałybyście kłopot, żeby w taką pogodę wrócić do domu. Jeśli któraś z pań zechce coś wypić lub zjeść, to mamy tutaj całodobowy bufet. - Zmierzył fachowym okiem dwie ciężarne nastolatki i dodał: - Ale jeśli poród będzie się przedłużał, to może te dwie dziewczyny powinny jednak wrócić do domu i przespać się choć trochę.

- Nie ma mowy. Nie zostawimy Tani - wojowniczo oświadczyła Pam.

- Będziemy z nią do końca - potwierdziła Ellie.

- Poradzą sobie - zapewniła lekarza Marike. - Obydwie są silne i zdrowe. Robimy regularnie badania.

Lekarz skinął głową.

- Jak panie chcecie. Dam wam znać, jak się rozwija sytuacja.

Kiedy zniknął za drzwiami, wszystkie trzy spojrzały po sobie.

- Nie sądzisz, że powinnaś przynajmniej zadzwonić do niego i powiedzieć, jak się sprawy mają? - zapytała Pam.

- Do kogo miałabym zadzwonić? - zdziwiła się Marike. - Chłopak

Tani nie daje znaku życia już od siedmiu miesięcy. Nawet nie mam pojęcia, gdzie miałabym go szukać.

- Wiesz dobrze, że Pam mówi o tym twoim przystojniaczku. Przy wyjściu prosił o telefon, jak tylko będziemy coś wiedzieć - powiedziała Ellie.

- Niby dlaczego miałoby mu na tym zależeć? A poza tym nie mam nawet jego numeru.

- Może spróbujesz zadzwonić do nas, do Derbyfield?

Marike roześmiała się szczerze.

- Myślisz, że siedzi przy naszym stole i obgryza paznokcie? Akurat! Znam takich, na pewno zaraz po naszym wyjściu ściągnął pomoc drogową i pojechał do domu.

- A ja się założę o podwójne lody, że wciąż jest u nas - oświadczyła Pam z taką pewnością siebie, jakby znała Williama Lamberta od lat.

- Nie ma mowy. Masz taką ochotę na lody, że pewnie pojechałabyś stopem do Chicago, porwała Williama Lamberta i zamknęłabyś go u nas na cztery spusty, żeby tylko wygrać ten zakład - powiedziała Marike.

- O niebo łatwiej byłoby pojechać stopem do Chicago i samej kupić sobie te lody - wycedziła przez zęby Pam. - Mówię ci, że on tam jest. Jestem gotowa założyć się o cokolwiek.

Na samą myśl o tym Marike zadrżała, a jej żołądek zacisnął się boleśnie. Wciąż czuła na swoich wargach namiętny pocałunek Willa, wciąż czuła ciepło jego dłoni. Gdyby nie to zrzęczenie losu, poszłaby z nim do łóżka, poszłaby jak nic - i nawet nie miałaby o to do siebie pretensji. Will bowiem rzeczywiście jest wspaniały. Silny, przystojny, czuły, inteligentny...

Cóż, nie było jej dane skosztować tej doskonałości. Tania, której ciążyła przebiegała wręcz książkowo, niespodziewanie zaczęła rodzić, i tym samym powstrzymała ją od popełnienia życiowego błędu.

Ech, szkoda nerwów, szkoda łez. W tej chwili najważniejsze jest to, żeby Tania urodziła zdrowe dziecko.

ROZDZIAŁ 5

Wstawianie ciężkiej plastikowej płyty w miejsce wybitego okna zajęło mu więcej czasu niż myślał. Marike miała co prawda supernowoczesne maszyny do szycia, ale reszta narzędzi w jej domu była w opłakanym stanie. Zanim Will odnalazł odpowiednią płytę, sypiący śnieg zdążył już pokryć grubą warstwą stary orientalny dywan. Było grubo po północy, kiedy udało się wreszcie zasłonić ziejący otwór i zetrzeć z podłogi biały puch, a raczej mokrą plamę, w którą się zamienił.

Zszedł zmęczony do kuchni i zaparzył sobie bez-kofeinową kawę. Potem zrobił trzy kanapki z masłem orzechowym i zabrał się do naprawiania balustrady przy schodach, prowadzących na górę. Całe szczęście, że żadna z dziewcząt nie pośliznęła się w biegu i nie złapała poręcz, bo wyrwałaby ją ze ściany i spadła pół piętra w dół, pomyślał z ulgą.

Była druga nad ranem, kiedy skończył zabezpieczać poręcz. Zreperował też ciekący kurek w staromodnej łazience na piętrze i wymienił nadgniły stopień na tylnych, prowadzących do kuchni schodach. Z odkryciem felernego stopnia nie miał większych problemów, gdyż Marike umieściła obok niego tabliczkę z napisem: „Uwaga! Nie wchodzić!”

Will zauważył też, że w rogu budynku przecieka dach, ale nie był w stanie go naprawić, bo na dworze szalała zamieć. Postanowił poczekać, aż śnieg stopnieje. Wtedy się okaże, czy potrzebna jest tylko łatka, czy też trzeba wymienić cały fragment poszycia. Ponadto w wielu drzwiach i oknach należało naoliwić zawiasy, bo okropnie skrzypiały. Do tego jednak trzeba było mieć odpowiednie narzędzia.

Will postanowił następnym razem przywieźć swoje. Mógłby je nawet tutaj zostawić - w jego nowiutkim apartamencie i tak nie są na razie potrzebne. Kiedy je kupił, zastanawiał się nawet, po co właściwie to zrobił. Chyba tylko dla własnej satysfakcji. Od dziecka uwielbiał

majsterkować, a wbijanie gwoździ i heblowanie desek zawsze było dla niego robotą znacznie bardziej konkretną od bezustannego gapienia się w migoczący monitor komputera.

Ciekawe, co na ten temat myśli Marike, zastanowił się z uśmiechem. A właściwie nie Marike, tylko Mary.

Marike, Mary, amazonka o karmazynowych włosach, z pieprzykiem na ramieniu. Cudowna kobieta z jedwabistymi ustami i ciałem, które zdawało się wtapiać w jego ciało. Potomikini Wikingów...

Pokręcił głową i znów uśmiechnął się na wspomnienie ich rozmowy. Przechadzając się po opustoszałym domu, przypomniał sobie, że powinien wracać do siebie. Ciągle jednak tęsknie zerkał na telefon, mając nadzieję, że Marike nie zapomniała o nim i się odezwie.

Wypił drugą filiżankę kawy i spałaszował ostatnią kanapkę z masłem orzechowym. To śmieszne, myślał, ale to masło jest lepsze od tego, które kupiłem w sklepie. A przecież starałem się wybrać takie samo. Może tamte orzechy były z gorszego rocznika?

Ech, wszystko w domu Marike wyglądało lepiej, pachniało ładniej i było smaczniejsze. Było to tym bardziej dziwne, że przecież Will bywał w najlepszych restauracjach i kosztował najwspanialszych potraw. Ze swoją pozycją mógł czerpać z życia, co tylko chciał, i bywać tam, gdzie miał akurat ochotę. Problem jednak polegał na tym, że w tej chwili nie był w stanie myśleć o żadnym innym miejscu poza Domem Nadziei i o żadnym innym smaku poza smakiem Marike.

Chciał się wyciągnąć na sofie, ale wiktoriańskie meble nie były szczególnie wygodne. W końcu wstał i zaczął spacerować po domu w poszukiwaniu wystarczająco długiego łóżka, które pomieściłoby jego ciało. Znalazł jedynie podniszczoną sofę w sali telewizyjnej, w której było przeraźliwie zimno z powodu uszkodzonego okna.

W końcu zdecydował się położyć w łóżku Marike. Instynktownie czuł, że to musi być jej łóżko - obszerne, nieuporządkowane, z kolorową pościelą. Wdrapał się na nie i leżąc, zastanawiał się, z kim Marike dzieliła to łóżko w przeszłości. Liczył na to, że była to odległa przeszłość i że teraz jest jedynym mężczyzną, który ma okazję się przekonać, jak to postanie

jest miękkie i przytulne.

Wysłuchał się w jęk wiatru, który potrząsał starymi framugami okien. Westchnął głęboko i podłożył sobie jasiek pod głowę. W końcu zamknął oczy i zasnął.

Kiedy Marike wróciła do domu, czarna noc zamieniała się w mglisto szary poranek. Taksówka dowiozła ją kilkaset metrów od domu - dalej nie mogła się przedostać ze względu na zalegający wszędzie śnieg. Dziewczęta zostały w szpitalu ze świeżo upieczoną mamą, która po ciężkim porodzie szczęśliwie urodziła dorodną, rozwrzeszczaną Amy.

Pielęgniarki naprędce przygotowały dwa dodatkowe łóżka, za żadne skarby nie chciały bowiem wypuścić dwóch ciężarnych nastolatek w zamieć, jakiej Chicago nie widziało od lat. Wycieńczona Marike, wdzięczna, że zdjęto z niej obowiązek opieki nad trójką dziewcząt, błogostawiła chwilę, kiedy została sama. Potrzebowała tego, żeby dojść do siebie po przeżyciach ostatniej nocy.

W domu panowała kompletna ciemność. Z początku pomyślała, że wychodząc, zgasiła wszystkie światła, szybko jednak się zorientowała, że w czasie jej nieobecności wysiadły korki i nie ma prądu. Najwyraźniej stało się to niedawno, bo zasilane elektrycznością kaloryfery były jeszcze ciepłe.

Marike zamknęła za sobą drzwi i zaryglowała je dokładnie. Zrzuciła buty i w kompletnej ciemności weszła po schodach na piętro. Stąpała po omacku, ale pewnie. Nie ścisnęła mocno poręczy, bo wiedziała, że może to grozić wypadkiem. Była zmęczona i marzyła już tylko o tym, żeby jak najszybciej zrzucić z siebie przemoczone ubranie i położyć się spać.

W sypialni było niewiele jaśniej niż na schodach. Zdjęta dzinsy, a bawełnianą bluzę rzuciła na podłogę. Wreszcie dotarła do łóżka i odsunęła kołdrę.

Zobaczyła go, zanim zdążyła krzyknąć z przerażenia. W ostatniej chwili zdławiła wrzask, który wydobył się z jej gardła w postaci zduszonego pomruku. Will poruszył się, lecz nie przebudził i po chwili dalej spał z policzkiem przyciśniętym do jej poduszki. Wyglądał niewinnie jak anioł, choć na jego twarzy rysowało się zmęczenie. Mój

Boże, pomyślała, mężczyzna w moim łóżku. I to jaki mężczyzna!

Wycofała się na palcach i zajrzała do sali telewizyjnej. Zauważyła, że miejsce po wybitej szybie jest dokładnie zasłonięte plastikową płytą. Zerkając na sofę, pomyślała, że mogłaby się na niej kilka godzin zdrzemnąć, a potem, kiedy odśnieżą drogi, wrócić do szpitala. W pokoju było jednak zbyt chłodno, doszła więc do wniosku, że pożyczyc kołdrę od którejś z dziewcząt i nakryta po uszy zdoła jakoś przebiedować te kilka godzin.

Wyszła na korytarz - i zderzyła się z twardą, masywną sylwetką. Tym razem krzyknęła z przerażenia.

- Jak tam Tania? - usłyszała.

- Och, to ty - odetchnęła z ulgą. - W porządku, urodziła córeczkę. Są całe i zdrowe.

Miała nadzieję, że Will nie zauważy jej nagości, przykrytej jedynie nocną bielizną. A nawet jeśli zobaczy, to i tak nie zrobi to na nim wrażenia, dodała uspokajająco w myślach.

Bzdura! Przecież go pragnie, a on pragnie jej, po co więc całe to udawanie?

- Pam i Ellie zostały z Tanią - dodała, bo nie bardzo wiedziała, co jeszcze mogłaby powiedzieć. - Zostaną w szpitalu do czasu, aż drogi będą przejezdne. Ty pewnie też nie mogłeś dostać się do Chicago ani sprowadzić pomocy drogowej?

- Nie. Ja na ciebie czekałem - odparł zmysłowym tonem i w ciemności wyciągnął dłoń, by dotknąć jej włosów. - Wciąż czekam, Marike - dodał, po czym wplotł palce głębiej, pieszcząc delikatnie jej skórę.

Marike z trudem przełknęła ślinę. Było coś w tym jego leniwym spokoju, co pociągało ją i zniewalało. Ciemność wzmagająca intymny charakter tego spotkania, ośmielała i skłaniała do myśli, które normalnie być może nie przyszłyby jej do głowy. Zapragnęła nagle, by Will wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni. A potem całował i pieścił, długo i delikatnie. Daniel nigdy tego nie robił...

- Czekasz na mnie w moim łóżku? - Odnalazła w ciemności jego

błyszczące oczy.

- Tak. W twoim łóżku. - Sięgnął po jej dłoń i przytulił ją do ciepłego policzka. - Masz zimne ręce...

- Mróz.

- Pozwól mi je ogrzać. Chodź, jesteś taka zmarznięta.

Powinna zaprotestować, zachnąć się albo go wyśmiać. Zamiast tego przytuliła się tylko do jego rozgrzanego snem ciała i pozwoliła zamknąć w ramionach. Chwilę potem poczuła, jak Will unosi ją lekko do góry i niesie w ciemnościach do sypialni.

Dopiero tam zobaczyła, że jest bosy. I że nie ma na sobie koszuli, ale ciemny podkoszulek, który opina jego mięśnie.

Stanął przy łóżku, jakby na coś czekał.

- I co teraz? - zapytał.

- Nie wiem...

- Miałem cię ogrzać - szepnął, po czym postawił ją na wprost siebie i położył dłonie Marike w miejscu, gdzie kończył się jego podkoszulek. Nie mogła się opanować. Wsunęła dłonie pod materiał i drżącymi palcami przesunęła po gładkiej, gorącej skórze.

- To szaleństwo - westchnęła. - Nie znam cię dobrze, nawet nie wiem, czy cię lubię, czy jestem gotowa... - mówiła, ściągając z niego ubranie i wtulając twarz w jego tors.

- Jesteś gotowa.

- Właśnie nie wiem.

- Chcesz więc, żebym sobie poszedł? - zapytał, dotykając jej brzucha i przesuwał dłoń w kierunku piersi.

- Tak - szepnęła, pozwalając jednocześnie się całować. Kiedy na chwilę przestał, to ona ponagliła go do dalszych pieszczot. Wsunęła język w jego usta i poczuła, jak twarde ciało Willa zadrżało z rozkoszy. - Och, idź sobie, idź...

- Kiedy mam iść?

- Nie wiem. Nie teraz. Później - dodała i sięgnęła do guzika jego spodni.

Przycisnął ją do siebie jeszcze mocniej. Pocałował raz jeszcze, a ona

odwzajemniła ochoczo pocałunek. Ściągnął przez głowę jej koszulę i wtedy obnażone piersi Marike otarły się o jego goły tors, a ona sama syknęła z rozkoszy. Objął ją w talii i uniósł lekko nad ziemią; otoczyła nogami jego biodra, by poczuć, jak bardzo jej pragnie. Will jęknął głucho, a potem ułożył Marike wygodnie na łóżku.

Całował ją wolno i dokładnie. Całował szyję, przestrzeń między piersiami, ramiona, brzuch. Zsunął delikatnie jej jedwabne majteczki i pochylił głowę, a wówczas Marike przestała na moment oddychać.

Wiedział, jak sprawić jej rozkosz. Był czuły, lecz zarazem pewny i zdecydowany. Marike chciało się płakać ze szczęścia, choć przecież poprzysięgła sobie, że nigdy już przez żadnego mężczyznę płakać nie będzie.

Kiedy instynktownie chciała się odsunąć, nie pozwolił jej na to. Przytrzymał ją łagodnie i dodał pewności czułym pocałunkiem.

- Nie bój się, Marike.

Kochał się z nią powoli, w ciszy, bez pośpiechu, jakby chciał, by ten cudowny seans trwał jak najdłużej. Gdy zaś oboje zbliżali się już do szczytu, wyszeptał jej imię, splótł palce z jej palcami i zaczął wgłębiać się w nią mocniej i silniej, uderzając biodrami o jej biodra. Nagle wyprężył się jak struna i wbił w nią wzrok pełen zdumienia i zarazem radości, od którego załata ją nagle fala rozkoszy, potem kolejna, a potem jeszcze jedna, największa i ostateczna, która pochłonęła ją i zabrała bez reszty.

Ale Marike nie zagubiła się w tej bezkresnej otchłani szczęścia. Szybowała w niej z Willem, nie była samotna. Po raz pierwszy w życiu nie była w takiej chwili sama.

Kiedy ochłonęli nieco i wrócili do rzeczywistości, Will uniósł głowę i pocałował ją lekko w usta. Jeszcze wspanialej, niż poprzednio. Otoczył swoimi dużymi dłońmi jej twarz, bo nie wiedział, dlaczego Marike płacze. Nie miała siły mu wytłumaczyć. Liczyły się tylko jego usta, jego pocałunki, pieszczoty i cicho szeptane słowa.

Liczył się tylko on - Will.

Ta dziewczyna jest jak żywy ogień, myślał Will, nasuwając kciokrę na jej uśpione ciało. Uroda Marike była bujna, temperament gorący, skóra

gładka i pachnąca. Choć kochali się trzy razy, wciąż jej pragnął, kiedy czuł pod palcami te miękkie włosy, smukłe nogi, zniewalająco miękkie piersi. Odetchnął ciężko i wyjrzał przez okno. Nie zauważył nawet, kiedy przestał padać śnieg. Teraz słyszał, jak dozorczy odśnieżają chodniki, a pługi jezdnie. Sypialnię wypełniało blade, rozmarzone światło, które srebrzyło wszystko, co się w niej znajdowało, włącznie z ramieniem Marike. Will nie mógł sobie wyobrazić większego szczęścia, niż leżeć teraz u jej boku.

Przeżył trzydzieści pięć lat, kierując się zdrowym rozsądkiem. Miał doświadczenia z kobietami. Raz albo nawet dwa myślał, że jest zakochany. To jednak, czego doświadczał teraz, było całkiem odmiennym uczuciem. Takiej burzy zmysłów nie przeżył nigdy dotąd. I takiej tęsknoty, choć przecież czekał na Marike ledwie parę godzin.

Ale przecież dobrze jej nie znał...

Ech, no i co z tego? Do diabła z logiką, praktycznym podejściem do życia, rozsądkiem! Serce mówiło mu jasno, że to właśnie ta, na którą czekał całe życie. Był w niej zakochany po uszy, irracjonalnie i nieodwołalnie. Może nawet i ślepo, a niech tam!

Zastanawiał się, jak zareagowałaby Marike, gdyby wkrótce poprosił ją o rękę. Pewnie by mnie spoliczkowała, pomyślał, uśmiechając się kącikiem ust. Mimo wielkiej ochoty, żeby zrobić to już teraz, postanowił odczekać kilka tygodni i dać jej czas, żeby się do niego przyzwyczaiła.

Zastanawiał się też, czy powinien jej wyznać miłość. Z początku uznał, że skoro Marike i tak mu nie uwierzy, lepiej tego nie robić. A na pewno mu nie uwierzy, skoro jemu samemu z trudem przychodziło dać wiarę tej prawdzie, która tak nagle objawiła się w jego sercu. Im dłużej jednak o tym myślał, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że powinien jej to powiedzieć.

Nigdy nie wyznał miłości żadnej kobiecie. Nigdy nie powiedział Taylor, że ją kocha, a kiedy się od niego wyprowadziła, nie miał żadnych wyrzutów sumienia. Działo się to wszystko dlatego, że Will nigdy tak naprawdę nie był pewien swoich uczuć. Teraz było inaczej. Tym razem nie chciał zwlekać. Nie chciał być uważny, cierpliwy, rozsądny. Chciał

zbudzić Marike, wziąć ją w ramiona i ucałować jej rozespaną twarz. A potem znów się z nią kochać i powtarzać, że ją kocha i że dla niej jest gotów oddać wszystko i zaryzykować wszystko...

Nagły chłód wyrwał go z zamyślenia. Marike niespodziewanie odwróciła się od niego i szarpnęła kołdrę. Nakrywając siebie, odkryła jego. Uświadomiwszy sobie, że nie jest sama, zwróciła ku niemu oblaną rumieńcem twarz, po czym szybko odwróciła się z powrotem.

- Mówiłeś, że sobie pójdziesz - odezwała się cicho.
- A ty mówiłaś, że później.
- Myślę, że teraz nadeszła odpowiednia chwila. Willa przeszył

lodowaty dreszcz.

- Tak po prostu? - zapytał
- Tak po prostu - odparła, wciąż odwrócona tyłem. Przez chwilę podziwiał piękne wygięcie jej pleców i kremową skórę, która pod dotykiem jego palców stała się jak jedwab.

Nie chciał się z nią spierać. Naciągnął porzucone na podłodze dzinsy i podkoszulek, obszedł łóżko i stanął przy Marike tak, żeby nie mogła uciec przed jego wzrokiem. Stał i stał, a ona wciąż nie podnosiła spojrzenia. Wreszcie wsunął dłoń pod jej uparcie spuszczonego podbródek i uniósł jej twarz do góry.

- To się nie uda - powiedziała bezbarwnym głosem. - Było pięknie, ale ty mieszkasz w Chicago, a ja w Derbyfield. To zasadnicza różnica.

- To żadna różnica, Marike.
- Ty zakładasz garnitury, a ja taśmę izolacyjną i kolorowe kiecki.
- Teraz mam na sobie podkoszulek.
- Od Armaniego.

Niestety, Will nie mógł temu zaprzeczyć.

- Chcesz mi dać kosza z powodu Armaniego?
- Między innymi. To wyznacza różnicę między światem moim i

twoim.

- I nie ma znaczenia to, że cię kocham?

Nie takiej reakcji się spodziewał. Marike zadrżała, zamknęła oczy, po czym prawie niezauważalnie potrząsnęła głową.

- Wracaj do swojego apartamentu i nie przyjeżdżaj tu więcej - powiedziała niskim, niemal grobowym głosem.

Will przycupnął przy niej. Czuł ból, ale starał się zachować cierpliwość. Ona jednak nie chciała na niego spojrzeć, więc postanowił jej do tego nie zmuszać.

- Dobrze, pójde - oświadczył. - Ale będę na ciebie czekał. I tak do mnie przyjdiesz. Nie przywykłem do tego, że mi się odmawia.

- A ja tak - odparła Marike i na chwilę podniosła na niego oczy. Will zobaczył w nich łzy.

RRS

ROZDZIAŁ 6

W życiu Marike bywało raz lepiej, raz gorzej, ale tak źle, jak teraz nie było chyba nigdy. Nawet wtedy, gdy Daniel zostawił ją dla swojej chuderlawej kochanki, Marike umiała jakoś sobie poradzić. Może dlatego, że już od jakiegoś czasu przeczuwała nieszczęście, więc mogła podświadomie przygotować się do tego, że któregoś dnia zostanie porzucona.

Tym razem jednak nie miała podstaw, żeby czuć się porzucona. To ona odesłała z kwitkiem Willa Lamberta, a zrobiła tak dlatego, że było to jej zdaniem jedyne dobre posunięcie. Dlaczego więc czuła się kompletnie rozbita i wycieńczona?

Tania wróciła do domu z uroczą córeczką. Małeństwo wzbudziło takie zainteresowanie cioć, że nie miało nawet czasu na grymasy i kolki. Powinno było zaabsorbować również Marike, jednak zamiast tego wywołało kolejne wzruszenia. Kiedy spojrzała w małeńkie oczka Amy i zanuciła jej łzawą kołysankę, tak zabolęło ją serce, że nie była w stanie powstrzymać łez. Wcześniej prawie nigdy nie płakała, teraz zdarzało jej się to niemal codziennie.

Za każdym razem, gdy dzwonił telefon, podskakiwała jak oparzona. Wszystkie jednak, poza służbowymi, były nie do niej. Troje dziewcząt szeptało ciągle między sobą, najwyraźniej podejrzewając, co w trawie piszczy. Lecz Marike milczała jak grób i tylko torturami można by ją było zmusić do mówienia. Najchętniej zamykała się w sypialni, nakrywała kołdrą i próbowała zapomnieć, że kochała się w tym łóżku z Willem Lambertem. Niestety, najczęściej kończyło się to tak, że rozpamiętywała z zamkniętymi oczami przeżyte rozkosze.

Tak bardzo była pochłonięta swoimi rozterkami, że z początku nie zauważyła zmian, które nastąpiły w jej rozwalającym się domu. Tymczasem balustrada przy schodach została naprawiona, kurek w łazience przestał cieknąć. Idąc za ciosem, sprawdziła kuchenne schody - przegniły szczebel ktoś wymienił!

Ktoś? Marike dobrze wiedziała kto. Will zrobił to sam albo - co bardziej prawdopodobne - przysłał tu kogoś podczas jej nieobecności. Prezes Lambert nie bawiłby się przecież w hydraulika. Gdzie miałby się nauczyć tego fachu, żyjąc od dziecka w świecie luksusu i słodkiego nieróbstwa?

Jeszcze tego samego dnia, kiedy odkryła wykonane bez jej wiedzy naprawy, zeszła do kuchni, by zapytać dziewczyny, czy wiedzą coś na ten temat. Na jej widok zamilkły, jakby temat ich rozmowy ściśle był związany z osobą szefowej.

- Ktoś naprawił tylne schody - oświadczyła. Pam i Ellie popatrzyły po sobie niewinnym wzrokiem.

- Nie my - odparła Pam. - Kiepscy z nas stolarze.

- A Tania ma co robić z Amy - dodała Ellie.

- No cóż, nieważne - Marike rozłożyła bezradnie ręce - w każdym razie pamiętajcie, że są jeszcze dwa obłuzowane stopnie. Uważajcie, jak będziecie po nich chodzić. Aha, a kto wstawił szybę w sali telewizyjnej? Jeszcze niedawno była tylko ta plastikowa płyta.

- Nie mam pojęcia - powiedziała Ellie. - Kiedy w poniedziałek wróciliśmy ze szpitala, była już wprawiona. Myślałam, że to ty ściągnęłaś szklarza.

- Nie ja - odparła Marike. - I nikt poza nami nie ma kluczy do domu.

- Może to jakaś dobra wróżka? - radośnie zasugerowała Pam.

- Albo włamywacz - gorzko rzuciła Marike.

- Widziałaś kiedyś włamywacza, który wprawia wybite szyby?

Marike postanowiła nie kontynuować tego tematu. I tak więcej jej nie powiedzą. Nie musiały zresztą tego robić. Oto potwierdziły się jej najgorsze przypuszczenia, że Will nie dał za wygraną i postanowił nie zapominać o Domu Nadziei i przygodzie z jej właścicielką. Powiedział przecież, że nie jest przyzwyczajony, gdy mu się odmawia.

Cóż, najwyraźniej chce jeszcze raz usłyszeć „nie”.

- Czy jest już gotowa garderoba dla siostry pana Lamberta? - zapytała obojętnym głosem.

- Tak - odparła Ellie. - Pomyślałyśmy sobie jednak, że nie powinnaś

wynajmować firmy kurierskiej. Wypada chyba, żebyś osobiście dostarczyła te ciuchy.

Ot, taki gest dobrej woli. W końcu to nasze największe ostatnio zamówienie.

- Domyślam się, że to tym tak rozprawiałyście, gdy weszłam?

- Między innymi. Nie widziałyśmy twojego przystojniaczka od tamtego wieczora, kiedy zaczęła rodzić Tania. Byłoby miło, gdybyś mu w naszym imieniu podziękowała za pomoc. Sama uczyłaś nas dobrych manier.

- Owszem, uczyłam też, że trzeba słuchać rozumu, a nie tylko serca
- odcięła się Marike.

- Kiedy tak właśnie dyktuje rozum.

- Żeby dostarczyć ubrania jego siostrze osobiście?

- Niezupełnie. Żeby dostarczyć je Willowi. To on złożył zamówienie.

Hm, od kiedy to William Lambert jest dla nich Willem? Pewnie przychodził tutaj, kiedy były same, albo kiedy ona, Marike, zamykała się w swojej sypialni i udawała, że jej nie ma.

- Macie całkowitą rację - zgodziła się, choć wcale nie było w jej głosie przekonania ani radości. - Osobiście dostarczę mu te ciuchy i podziękuję za pomoc. Za całą jego pomoc - dodała z naciskiem. - I wtedy wreszcie skończy się ta zabawa, jasne?

Marike nigdy nie była w stanie poskromić Pam. Teraz też dziewczyna uniosła przekornie brodę i odparła:

- Jasne. Tylko że naszym zdaniem jesteś głupia.

- Dziękuję za uwagę - odparła, nie do końca pewna, czy jej podopieczne nie mają czasem racji.

Droga do Chicago była sucha, powietrze mroźne i czyste. Od dziesięciu dni, kiedy to przez Chicago i okolice przetoczyła się burza śnieżna, było słonecznie i pogodnie. I tylko dusza Marike okryta była mrokiem, jakby na przekór temu, że następnego dnia miały być walentynki.

Marike złapała się na tym, że chce, żeby jej podstarzałe volvo kombi nie ruszyło albo zepsuło się gdzieś po drodze. Niestety, okazało się jak

zwykle niezawodne i nie miała już żadnej wymówki. Nawet takiej, że są korki - ulice tego dnia były bowiem wyjątkowo puste. Musiała zatem jechać do miasta. Musiała opanować nerwy i skoncentrować się na prawidłowym zaparkowaniu wozu w centrum. Musiała znaleźć siedzibę Lambert Publications i przedrzeć się przez barykadę sekretarek i asystentek do jego gabinetu.

Przerażała ją myśl, że będzie musiała się z nim spotkać. Powtarzała sobie, że to będzie ostatnie spotkanie, podczas którego wyjaśni sobie wszystko do końca - i to dodawało jej nieco odwagi. Musi tylko dobrze się pilnować. Nie może pozwolić sobie na żaden lekkomyślny krok, gest, słowo. Szczególnie, że będzie w jego biurze.

Wchodząc do Lambert Publications, pomyślała, że albo ktoś uprzedził Willa o jej przyjeździe, albo firma ma fatalnych ochroniarzy. Przez nikogo nie niepokocona, w ciągu kilku minut dotarła bowiem na trzydzieste siódme piętro i stanęła twarzą w twarz z kobietą, która najwyraźniej należała do najbliższego otoczenia pana prezesa. Dziewczyna była oczywiście szczupła, oczywiście nienagannie ubrana, oczywiście olśniewająco piękna i oczywiście wpatrzona w Marike - tyle że z zainteresowaniem, a nie z protekcyjną wyższością, jakiej się spodziewała.

Wyciągnęła do Marike idealnie wypielęgnowaną dłoń i powiedziała:

- Nazywam się Thelma Ryerson. Jestem byłą asystentką Willa Lamberta. A pani to z pewnością Marike.
- Skąd pani wie? Mówił pani o mnie?
- Ani słowa. Ale wszyscy umieraliśmy tu z ciekawości, więc wykopaliliśmy z archiwum artykuł o pani - oświadczyła z uśmiechem Thelma.
- Po co? - zdziwiła się Marike.
- Chcieliśmy się dowiedzieć, kto sprawił, że wielki Will Lambert wreszcie poległ na polu walki. Teraz, kiedy panią widzę, nie mam już żadnych wątpliwości: jest pani zupełnie inna, niż wszystkie kobiety, z którymi dotąd się umawiał.

No tak, pomyślała kwaśno Marike. Niezbyt szczupła, niezbyt

wyrafinowana, zupełnie z innego świata.

- Obawiam się, że pomyliła się pani w ocenie sytuacji - odezwała się uprzejmie. - Mnie i pana Lamberta nic nie łączy. Przyszłam do niego tylko po to, żeby dostarczyć garderobę dla jego siostry i podziękować mu za współpracę.

- Za późno - odparła Thelma. - Już go nie ma.

- No cóż. W takim razie zostawię te rzeczy tutaj. Thelma potrząsnęła głową i uśmiechnęła się nieznacznie.

- Źle mnie pani zrozumiała. Od dzisiaj Will Lambert tu nie pracuje, a mówiąc dokładniej: od dziś będzie pojawiał się sporadycznie. Zostawił wszystko na moich barkach. Słowem - zrzucił z siebie ciężar i jeszcze będzie brał za to kasę - zakończyła żartobliwym tonem.

- A więc to pani będzie kierować firmą? Will przeszedł na emeryturę?

- Nie, po prostu zrezygnował ze stanowiska. Chce zacząć nowe życie, tak przynajmniej powiedział. Nie mieści mi się w głowie, dlaczego ktoś, kto ma dyplom prawnika i zarządza olbrzymią korporacją, nagle rzuca wszystko w diabły i zaczyna się zajmować renowacją starych budynków, no ale ja to ja, a Will to Will. Powiedziałam mu, co o tym myślę, na co Will odparł, że właśnie dlatego ja się idealnie nadaję do prowadzenia tej firmy, a on do tego, żeby z niej uciec. No i mnie awansował.

Marike nie kryła zdumienia.

- Ale... co się właściwie stało? Uciekł? Gdzieś wyjeżdża? Ktoś mu grozi?

- Nie wiem. Teraz w każdym razie jest w domu, a z tego, co wiem, chciał mieć te ubrania do jutra, żeby w walentynki móc podarować je siostrze. Może by pani do niego podjechała? Zadzwoń i go uprzedzę...

- Nie - odpowiedziała instynktownie Marike, zaraz jednak dodała cichszym głosem: - Albo dobrze. Tylko że nawet nie znam jego adresu...

Nie wiedziała, dlaczego to robi, czuła jednak, że powinna go zobaczyć, skoro Will wyjeżdża. A jeśli nawet nie wyjeżdża, to w jego życiu coś musiało się zmienić. Intrygowała ją ta zmiana.

- Zapiszę pani adres - Thelma wyrwała ją z rozmyślań. - To jeden z tych wielkich nowych apartamentowców na Lake Shore Drive.

Nawiasem mówiąc, Will chce go sprzedać.

- A może jednak zostawię te rzeczy tutaj, a pani pośle je taksówką?

- Niech pani nie żartuje. Chyba nie boi się pani z nim spotkać? O ile sobie przypominam, powiedziała pani, że nic was nie łączy.

Marike wytrzymała jej rozbawione spojrzenie.

- W istocie. Proszę mi dać ten adres. Zobaczę, może będę miała chwilę czasu, żeby do niego wstąpić w drodze powrotnej. Zostawię paczkę u portiera.

- U portiera? Pani wybaczy, ale to jakieś dziwactwo. Niech się pani nie obawia, Will naprawdę nie gryzie.

Właśnie że gryzie, miała ochotę odpowiedzieć Marike. Do dziś pamiętała, jak kąsał ją delikatnie, pieszcząc jej nagie ciało.

- Zobaczę - powtórzyła Marike. - W każdym razie dziękuję za pomoc.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Do zobaczenia, Marike.

- Do zobaczenia? Nie sądzę.

- A ja tak - radośnie pisnęła Thelma.

- Przesyłka dla pana, panie Lambert! Stukanie oraz donośny głos portiera przerwały Willowi prowadzoną od trzydziestu minut zamiejscową rozmowę telefoniczną. Był właśnie zajęty pocieszaniem zapłakanej Lindsay i nie mógł podejść do drzwi, toteż krzyknął tylko, wiedząc, że Joe ma przy sobie klucz:

- Otwórz i połóż ją przy wejściu! - a potem znów skupił się na jękach i żalach udęczonej ciężą siostry.

- Postępuj, kochanie... Przestań płakać. Wiesz, że cię kocham i nie pozwolę, żeby stało ci się coś złego. Przyjadę do ciebie wieczorem, jak tylko spakuję resztę rzeczy. Będzie jak dawniej, zobaczysz. A teraz przestań się zamartwiać. Wiesz, że jesteś moją najukochańszą dziewczynką, i zawsze nią będziesz... No, już dobrze - westchnął, słysząc kolejny wybuch płaczu. - Kocham cię, słodziutka moja. Do zobaczenia wieczorem.

Odłożył słuchawkę i nagle poczuł w pokoju czyjąś obecność. Poczuł też gwałtowną falę ciepła, która obiegła go niespodziewanie, i jeszcze zanim zdążył się obrócić, wiedział już, kogo zobaczy.

Nie mylił się. W drzwiach stała Marike, ubrana w coś miękkiego i powiewnego, dostojnie okrywającego jej wspaniałe ciało. Przez jej ramię zwieszał się jaskrawokolorowy szal, który kontrastował z białą jak kreda twarzą.

Will zrobił ku niej krok. Ona się cofnęła. Zatrzęsnęła za sobą drzwi, zamykając ich obydwójce jak w pułapce. Will zatrzymał się. Nie chciał jej wystraszyć. Nie mógł zrozumieć kamiennego wyrazu jej twarzy. Po chwili wpadła mu do głowy myśl, że to na pewno z powodu telefonu.

- To była moja siostra - wyjaśnił pośpiesznie. - Ta, dla której uszyłaś ubrania. Znów przytyła pięć kilo i twierdzi, że znienawidził ją mąż. Śmieszne, prawda? Ale ona nigdy nie zachowuje się racjonalnie...

- Bywa, że kobieta traci rozsądek, kiedy zachodzi w ciążę - odezwała się Marike głosem znacznie spokojniejszym, niż się spodziewał. - Ale to właśnie mężczyzna ma obowiązek pocieszyć ją wtedy i wesprzeć.

- Nie sądzę, że tylko z powodu ciąży kobiety zachowują się nierozsądnie - powiedział Will. - Ty nie jesteś w ciąży, a zachowujesz się co najmniej dziwnie. Dlaczego tu przyjechałaś?

- Thelma cię nie uprzedziła?

- Nie.

- Oszustka.

- Nie mówmy o niej. Mówmy o nas, skoro już jesteś. Z wyrazu twojej twarzy wnioskuję, że nie zmieniłaś zdania.

- A czy to ma jakieś znaczenie? I tak wyjeżdżasz.

- Nie wyjeżdżam, tylko się wyprowadzam. Opuszczam to miasto i ten piękny apartament. Cholernie przytulne miejsce, no nie? - Zatoczył ręką po salonie, wskazując na gładkie ściany, okna w stalowych ramach, nowoczesnie wygięte meble i ich chłodne, bezduszne wyrafinowanie.

Marike położyła paczkę z ubraniami dla Lindsay na szklanym blacie nowoczesnego stołu.

- Dokąd wyjeżdżasz?

- Interesuje cię to?
- Tak tylko pytam.
- Myślałem, że znajdę coś w Derbyfield. Może jakiś monstrualny wiktoriański dom, który mógłbym doprowadzić do stanu używalności. Potem może bym go sprzedał. Widzisz, mieszka tam pewna kobieta, którą kocham. Nic, ale to nic nie zmieni mego uczucia. Chciałbym więc przeprowadzić się do Derbyfield, żeby być blisko niej i cierpliwie czekać. Może kiedyś mnie zechce.
 - A jeśli ona dobrze wie, co robi? Może nic dla niej nie znaczysz i znaczyć nie będziesz?
 - Moim zdaniem nie wie, co robi. Coś chyba dla niej znaczę, ale nie mam pojęcia, dlaczego nie chce spróbować, czy to jej uczucie jest cokolwiek warte. A może ona boi się tej pokusy? Może boi się być szczęśliwa? To dziwne, bo podobno jest odważna, w jej żyłach płynie krew Wikingów.

Marike podeszła do niego i wzięła się pod boki. Jej oczy błyszczały jak dwa stalowe sztylety. Była tak blisko, że Will zauważył, jak napięte ma ciało. Była tak blisko, że mógłby ją dotknąć i pocałować.

 - Naprawdę niczego nie żałujesz? - zapytał łagodnie i szczerze.
 - Trochę żałuję - popatrzyła na niego wyzywająco - to była piękna noc. Odkąd się z tobą przespałam, nie żyję niczym innym jak tylko żalem.
 - Nie o tym mówię. I nie była to noc, tylko trzy krótkie godziny. To bardzo mało. Chciałem zapytać, czy nie żałujesz, że odesłałaś mnie wtedy z kwitkiem.
 - Ani trochę - rzuciła przez zęby. Wiedziała, że kłamie, ale inne słowa nie przeszłyby jej przez gardło.
 - Mogę więc chociaż pocałować cię na pożegnanie? Przecież to i tak dla ciebie nie ma znaczenia.

Nie mogła odmówić. A nawet gdyby próbowała zaprotestować, Will i tak by ją pocałował.

 - Dobrze - zgodziła się spokojnie. Zrobiła pierwszy krok i położyła mu niepewnie dłoń na ramionach. Potem zaś chłodnymi ustami

dotknęła jego warg.

Dwie sekundy później jej dłonie błędziły gorączkowo pod koszulą Willa. Dziesięć sekund później nie miała już na sobie bluzki ani biustonosza. Minutę później leżeli na grubym dywanie wśród porzucanych ubrań, a trzy minuty później Will zagłębił się w niej z radosnym jękiem i poprowadził ją do szczytu rozkoszy.

Will zdawał sobie sprawę, że może to być ich ostatni raz, chciał więc, żeby było to dla Marike najwspanialsze przeżycie pod słońcem. A jednak nie mógł powstrzymać pragnienia, które tak nagle wypełniło jego ciało, nie był w stanie pohamować gorączki zmysłów, która pchała go do natychmiastowego zespolenia. Nie umiał czekać i czym prędzej dążył do jak najszybszego spełnienia.

Kiedy zaś stało się to, o czym marzył od dziesięciu dni, Marike oswobodziła się z jego objęć i zaczęła ubierać. Nie próbował jej zatrzymać. Wiedział, że nie zmusi jej siłą, by zechciała z nim zostać. Ubrała się prędko, wstała, a on wciąż leżał w milczeniu, obserwując każdy jej ruch. Nie zatrzymywał jej, gdy sięgnęła po płaszcz. Dopiero gdy przekraczała próg, odezwał się jakby mimochodem:

- Chcę się z tobą ożenić.

Marike zatrzymała się w pół kroku. Spojrzała na niego ze zdumieniem i powiedziała tylko jedno słowo:

- Zwariowałeś.
- Może. Ale zwariowałem z miłości. Ty zresztą chyba też. Czy nie widzisz, jak bardzo mnie kochasz?

Zatrzasnęła za sobą drzwi i poszła. Will nie wiedział, czy ma śmiać się, czy płakać. Przynajmniej znów dotykał jej słodkiego ciała. Udowodnił sobie, że nie jest na niego nieczuła. Gdyby tylko nie była taka przerażona i tak cholernie uparta! A on bardziej taktowny i szczery. Po co cała ta gra, ta słowna szermierka? Może gdyby powiedział jej to zwyczajnie, i to zanim położył dłonie na jej talii, zanim go pocałowała, a on sięgnął po jej pełne piersi...

Może wtedy i tak by wyszła, a on nie miałby nawet tego, co dostał! Trudno, czy ktoś mu obiecywał, że życie będzie łatwe i piękne?

ROZDZIAŁ 7

Wdrodze do domu Marike wpakowała się w sam środek popołudniowego szczytu. Miała wrażenie, że wszystkie samochody specjalnie jadą w tym samym kierunku co ona, żeby wyprowadzić ją z równowagi. Nie pomogły przekleństwa, rockowa muzyka z samochodowego radia nastawiona na cały regulator, nie pomogły łzy. Była nieszczęśliwa, załamana i wściekła.

Co chwilę odrywała rękę od kierownicy, żeby otrzeć policzki. Przynajmniej trzy czwarte kierowców w innych autach rozmawiało przez telefon komórkowy, lecz ona nie miała do kogo zadzwonić - nie miała komórki i była samotna. Samotna z własnej woli.

Jeszcze mocniej zacisnęła dłonie na skórzanej kierownicy. Gdyby jednak była tak głupia i uwierzyłaby, że związek z kimś takim, jak Will Lambert jest możliwy, w pierwszej kolejności wyrzuciłaby do śmietnika jego komórkę!

Z zamyślenia wyrwał ją dźwięk klaksonu. Był tak przeraźliwy, że aż podskoczyła. Kierowca przemknął obok niej, wymachując pięścią. W drugiej dłoni ścisnął telefon. Marike zastanawiała się, jak w ogóle był w stanie prowadzić samochód.

O wpół do ósmej dowlokła się wreszcie do swojego starego domu. Przejazd, który zwykle zabierał jej trzydzieści pięć minut, dziś wydłużył się do dwóch i pół godziny. Miała spuchnięte od płaczu oczy, a od połknięcia gorzkich łez rozboleła ją gardło. Czowała, że jej ciało jest obolałe, rozpalone i puste.

W domu nie zastała żadnej z dziewcząt, więc poszła od razu pod prysznic. Chciała z siebie zmyć każdy, nawet najdrobniejszy ślad po Willu Lambertcie. Pech chciał, że kiedy nałożyła na włosy szampon, przestała lecieć ciepła woda i musiała go zmyć pod lodowatym strumieniem. W końcu, przeklinając przez łzy i trzęsąc się z zimna, sięgnęła po ręcznik.

W futrynie do jej sypialni nie było drzwi. Stały obok, oparte o ścianę. Poręcz na klatce schodowej ruszała się przy najbliższym dotknięciu. Na

oścież były też otwarte dwa okna, przez które wpadało do środka mroźne powietrze. Coraz bardziej zdziwiona i przestraszona, przeszła do kuchni, wołając po drodze imiona dziewcząt, nikt jednak jej nie odpowiedział. Gdy stanęła na progu, krzyknęła, bowiem kran w zlewie był odkręcony, a zimna woda płynęła po podłodze wprost pod jej stopy.

Brodząc w niej po kostki, Marike dotarła do stołu, gdzie znalazła informację, podpisaną przez dziewczyny:

Droga Marike!

Dom Nadziei się rozpada. Zabrałyśmy dziecko i wprowadziłyśmy się na tę noc do mamy Pam. Musisz sprowadzić hydraulika, elektryka i stolarza. Musisz sprowadzić jakiegoś mężczyznę! Rozumiesz?

Po pomoc najlepiej zadzwoń pod numer 555-5078. I choć przez chwilę posłuchaj swego serca.

Przy notce leżał przenośny telefon, podniosła go więc i wykręciła szybko numer. Nigdy nie słyszała głosu Willa przez telefon, kiedy jednak odebrał, okazało się, że jest niski, głęboki i nieskończenie kojący.

Zawahała się, zanim powiedziała pierwsze słowo:

- Dom Nadziei się rozpada.
- Nic nowego.
- Ja się rozpadam.

Po drugiej stronie słuchawki zaległa cisza. Cholera, Will zawsze taki był. Nigdy nie ułatwiał jej zadania.

- Ten dom potrzebuje ciebie. Ja ciebie potrzebuję. Zbieraj swój tyłek i przyjeżdżaj, zanim zamarznę na śmierć!

- A masz masło orzechowe?
- Tak.
- Zaparzysz mi kawę?
- Jak poprosisz.
- I będziesz się ze mną kochać?

- Sama cię o to poproszę.

- A czy wyjdiesz za mnie? Marike głęboko westchnęła.

- Tak - odparła i nagle niepokój, który zżerał od dawna jej duszę, opuścił ją bezpowrotnie. W sercu Marike zagościł błogi spokój, więc

uśmiechnęła się i dodała łagodnie: - Wiesz przecież, że cię Kocham.

- Wiem - powiedział. - Od początku o tym wiedziałem.

RRS

EPILOG

Rok później

Dach w Domu Nadziei był już naprawiony, wszystkie szyby wymienione i przygotowane na nadejście kolejnej zimy. Roboty elektryczne i stolarskie trwały, ale miały zakończyć się lada dzień. Pam i jej mały synek wciąż jeszcze tu mieszkali, za to Tania i Ellie wyprowadziły się przed trzema miesiącami.

Ellie wyszła za mąż za ojca swojego dziecka, zaskakująco rozsądnego młodego człowieka, który bardzo się starał, żeby zapewnić dobrobyt swojej rodzinie. Tania zarabiała szcieniem i dorywczo wciąż pracowała w Domu Nadziei, stać ją już jednak było na własny kąt. W ośrodku przybyły za to trzy nowe dziewczyny, które szkoliła Pam. Natomiast Marike urodziła dokładnie w walentynki uroczą dziewczynkę.

Will siedział właśnie w salonie, w którym zamiast niewygodnej sofy stała teraz szykowna kanapa, i trzymał z dumą w ramionach trzydniową Mary. Dziewczynka już pokazała uparty charakter, bowiem zastanawiała się, czy warto się urodzić, dokładnie dziewiętnaście godzin! Gdy zaś wreszcie wydostała się na świat, nie omieszkała głośno zasygnalizować swojego poirytowania.

- Przyszli Lindsay i Phillip - poinformowała Marike. Już nie miała karmazynowych włosów. Ufarbowała je w rudo-kasztanowe pasemka i w nowej fryzurze wyglądała jak tygrysica. Poruszała się jednak powoli, wciąż bowiem odczuwała zmęczenie po porodzie. - Mary, poznaj swojego małego kuzyna, Jordana.

Dziesięciomiesięczny Jordan nastawił uszu na dźwięk swojego imienia i odwrócił się w kierunku siostry. Pogaworzył chwilkę, dzięki czemu mała Mary od razu przestała łkać i zaczęła się w niego uważnie wpatrywać.

- Poznajesz, Jordan? To twoja siostrzyczka - powiedziała do synka Lindsay. - Jest malutka i śliczna, prawda? Musisz być dla niej bardzo miły.

Jej mąż, Phil, wybuchnął śmiechem.

- Nie sądzę, żeby Jordan tak uważał, kochanie. Widzisz wyraz jego twarzy? Nie wygląda na zadowolonego.

- Nie powiedziałbym - wtrącił się Will. - Wygląda raczej, jakby się złościł i chciał jej powiedzieć: „Hej, Mary, dlaczego tak długo przychodziłaś na świat?”

- To samo pomyślałam po dziewiętnastu godzinach mąk - wtrąciła Marike, osuwając się z uśmiechem na krzesło.

- Rzeczywiście! - ożywiła się Lindsay. - Zobaczcie, on nie może się na nią napatrzeć! Jestem pewna, że będą przyjaciółmi.

- Mary też ma mu coś do powiedzenia - zauważyła wesoło Marike, patrząc, jak rączka dziewczynki wyciąga się w stronę brata.

- Najwyraźniej - przytaknęła Lindsay. - Myślisz, że się polubią?

Uklęła przy małej Mary, przysuwając do niej synka. Chłopczyk dojrzał wyciągniętą rączkę siostry i bez wahania ją ucisnął. Czworo dorosłych wymieniło znaczące spojrzenia.

- Musieli się chyba znać w poprzednim życiu - pokiwała głową Lindsay.

- I wygląda na to, że długo na siebie czekali - dodała Marike.

I wtedy Mary pokazała zaślinione dziąsła w bezzębny uśmiechu, na co wszyscy roześmiali się serdecznie.